

Agatha Christie

Niespodziewany gość

Adaptacja Charlesa Osborne'a
sztuki Agathy Christie „Niespodziewany gość”

Przełożyła Anna Bańkowska

Tytuł oryginału angielskiego The Unexpected Guest

Charles Osborne asserts the moral right
to be identified as the **adapter of this work.**

I

Był zimny listopadowy wieczór w Południowej Walii. Dochodziła północ. Widoczność na wąskiej i ciemnej, wysadzonej drzewami wiejskiej drodze utrudniały dodatkowo kłęby mgły. Z pobliskiego Kanału Bristolskiego dobiegało co chwila rytmiczne, melancholijne buczenie syren. Od czasu do czasu zaszczeakał jakiś pies albo odezwał się posępny głos nocnego ptaka. Nieliczne zabudowania wzdłuż wąskiej lokalnej drogi oddalone były od siebie o około pół mili. Przy jednym z najciemniejszych odcinków, tuż za zakrętem, stał elegancki dom o trzech kondygnacjach, otoczony rozległym ogrodem. W tym właśnie miejscu samochód utknął przednimi kołami w przydrożnym rowie. Po kilku próbach uruchomienia pojazdu kierowca pojął, że dalszy upór na nic się nie zda, i zgasił silnik.

Upłynęło kilka minut, zanim wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. Był to postawny mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, o rudawych włosach, ubrany w garnitur z grubego tweedu, ciemny płaszcz i kapelusz. Wyglądał na człowieka, który wiele czasu spędza na powietrzu. Przyświecając sobie latarką, ruszył ostrożnie przez trawnik w stronę domu. W połowie drogi do szklanych drzwi ogrodowych przystanął i powiódł wzrokiem po eleganckiej fasadzie budynku. Dom zdawał się pogrążony w zupełnych ciemnościach. Mężczyzna obejrzał się na drogę, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi. Przesunął ręką po szybie i zajrzał do środka, ale nie zauważył żadnego ruchu. Zapukał raz, potem drugi, i nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnął klamkę. Drzwi natychmiast ustąpiły i przybysz wśliznął się do ciemnego pokoju.

Znalazłszy się w środku, przystanął znowu, starając się uchwycić jakiś ruch lub odgłos.

— Halo! — zawołał. — Jest tam kto?

W świetle latarki zobaczył porządnie umeblowany gabinet ze ścianami pełnymi książek. Pośrodku, przodem do drzwi, stał wózek inwalidzki. Siedział na nim przystojny mężczyzna w średnim wieku, z kolanami owiniętym pledem. Wydawał się pogrążony w głębokim śnie.

— O, przepraszam — zmieształ się intruz. — Nie chciałem pana przestraszyć. Bardzo mi przykro, to wszystko przez tę przeklętą mgłę. Wjechałem do rowu i nie mam pojęcia, gdzie jestem. Ach, i zostawiłem otwarte drzwi... Raz jeszcze przepraszam. — Nie przestając się usprawiedliwiać, wrócił do drzwi, zamknął je i zaciągnął story. — Pewnie zjechałem z głównej drogi. Błądziłem ponad godzinę po tych zakazanych zaułkach...

Odpowiedzi nie było.

— Śpi pan? — spytał przybysz, podchodząc znowu do człowieka na wózku.

Nie doczekawszy się i tym razem odpowiedzi, skierował promień latarki na twarz mężczyzny i nagle zatrzymał się w pół kroku. Inwalida nadal nie otwierał oczu ani się nie poruszał. Kiedy przybysz pochylał się i dotknął jego ramienia, głowa tamtego opadła bezwładnie do przodu.

— Dobry Boże! — wykrzyknął człowiek z latarką.

Przez chwilę stał, wyraźnie nie wiedząc, co począć. Potem przesunął promień po ścianach i odnalazłszy przy drzwiach wyłącznik, podszedł tam, by go nacisnąć.

Zapaliła się lampa na biurku. Intruz położył tam latarkę i przyglądał się uważnie mężczyźnie na wózku, okrążając go ze wszystkich stron. Zauważył następne drzwi, a przy nich drugi wyłącznik. Po naciśnięciu zaświeciły się dwie lampy umieszczone na niskich stolikach. Zrobił znowu krok w stronę wózka i nagle drgnął. W kącie gabinetu, koło wbudowanego w ścianę regału z książkami, stała ładna, mniej więcej trzydziestoletnia blondynka w koktajlowej sukni z żakiecikiem. Nie odezwała się ani nie poruszyła — po prostu stała z opuszczonymi bezwładnie rękami i wydawało się, że nie śmie nawet oddychać. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu, aż wreszcie mężczyzna zdecydował się przemówić:

— On... On nie żyje.

Twarz kobiety była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

— Wiem — odrzekła obojętnie.

— Pani o tym wiedziała?

— Tak.

— Został zastrzelony — zauważył mężczyzna, podchodząc ostrożnie do ciała. — Dostał w głowę. Kto...

Urwał w pół zdania, widząc, że kobieta podnosi z wolna prawą rękę, ukrytą dotąd w fałdach sukni. Trzymała w niej rewolwer. Przybysz wciągnął gwałtownie powietrze. Dopiero kiedy zrozumiał, że nic mu nie grozi, podszedł do kobiety i łagodnie odebrał jej broń.

— To pani go zastrzeliła?

— Tak — odpowiedziała po krótkim milczeniu. Odsunął się i położył rewolwer na stoliku koło wózka.

Przyglądał się przez chwilę zwłokom, po czym rozejrzał się niepewnie po pokoju.

— Telefon jest tam — odezwała się kobieta, wskazując głową biurko.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.

— Telefon? — powtórzył jak echo.

— Gdyby chciał pan zadzwonić na policję — wyjaśniła tym samym beznamiętnym tonem.

Przybysz patrzył na nią tępym wzrokiem.

— Kilka minut nie zrobi różnicy — rzekł wreszcie. — Zresztą, tak łatwo nie przebiją się przez tę mgłę. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o... — Urwał i zerknął na ciało. — Kim on jest?

— To mój mąż. — Po namyśle dodała: — Nazywał się Richard Warwick. Ja jestem Laura Warwick.

Mężczyzna nadal nie odrywał od niej oczu.

— Rozumiem — mruknął w końcu. — Może pani... usiądzie? Laura Warwick przesunęła się wolno w stronę sofy. Przybysz rozejrzał się wokoło.

— Czy podać pani drinka albo coś? — zaproponował. — To musiał być wielki wstrząs.

— Niby co? To, że zastrzeliłam męża? — spytała ironicznie. Mężczyzna doszedł już widać do siebie, bo próbował dostroić się do jej tonu:

— Tak by się zdawało. A może to tylko tak dla sportu?

— Właśnie. Dla sportu — odparła bez zmrużenia oka, siadając na sofie. Zaintrygowany przybysz przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem. — To rzeczywiście dobry pomysł... ten drink.

Mężczyzna zdjął kapelusz i rzuciwszy go na fotel, wziął ze stolika karafkę. Nalał brandy i wręczył kieliszek kobiecie. Kiedy wypila, zaproponował:

— A gdyby tak opowiedziała mi pani o wszystkim?

Laura Warwick podniosła na niego wzrok.

— Czy nie lepiej zadzwonić po policję?

— Wszystko w swoim czasie. Chyba nie zaszkodzi, jeśli najpierw chwilę pogawędzimy?

Zdjął rękawiczki, wetknął je do kieszeni i zaczął rozpinać płaszcz.

Pewność siebie Laury Warwick zaczęła się załamywać.

— Ja nie... — zaczęła i urwała. — Właściwie kim pan jest? Skąd się pan tu wziął? — I nie dając mu czasu na odpowiedź, podniosła głos niemal do krzyku: — Na miłość boską, kim pan jest?!

III

— Ależ proszę bardzo, już mówię. — Przygładził ręką włosy, powiódł wzrokiem wokół siebie, jakby się zastanawiał, od czego i jak zacząć. — Nazywam się Michael Starkwedder. Tak, wiem, że to rzadkie nazwisko. — Powtórzył je jeszcze raz, litera po literze. — Jestem inżynierem. Pracuję w firmie Anglo–Iranian i właśnie wróciłem do kraju po kolejnym pobycie nad Zatoką Perską. — Umilkł. Może przywoływał w pamięci Bliski Wschód albo zastanawiał się, czy warto wchodzić w szczegóły. Wreszcie wzruszył ramionami. — Przyjechałem do Walii na dwa dni, żeby się rozejrzeć po starych śmieciach. Rodzina mojej matki pochodzi z tych okolic i pomyślałem, że chętnie kupiłbym tu jakiś domek. — Pokręcił głową z uśmiechem. — No i kompletnie się zgubiłem. Błąkałem się ponad dwie godziny po tych krętych walijskich drózkach, aż wreszcie wylądowałem w rowie! Wszędzie ta gęsta mgła. Znalazłem furtkę i po omacku dotarłem jakoś do tego domu. Myślałem, że będę mógł stąd zatelefonować, a przy odrobinie szczęścia może znajdzie się i nocleg. Nacisnąłem klamkę w ogrodowych drzwiach — i stwierdziwszy, że są otwarte, wszedłem do pokoju, gdzie natknąłem się na to — wskazał wózek z ciałem.

Laura Warwick patrzyła na niego oczami pozbawionymi wyrazu.

— Zapukał pan najpierw... kilka razy — mruknęła.

— Owszem, ale nikt nie odpowiedział. Laura wstrzymała oddech.

— Nie, nie odpowiedziałam — odrzekła niemal szeptem.

Starkwedder obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem, jakby próbując zrozumieć, o co tu chodzi. Postąpił krok w stronę ciała, potem nagle zawrócił do kobiety i powtórzył, sądząc, że w ten sposób ją ośmieli:

— Jak już mówiłem, nacisnąłem klamkę, a że drzwi były otwarte, wszedłem.

Laura patrzyła w swój kieliszek. Powiedziała, jak gdyby cytując:

— „Drzwi się otwierają i wchodzi niespodziewany gość”. — Zadrżała leciutko. — W dzieciństwie zawsze przerażał mnie ten zwrot: „niespodziewany gość”. — Odrzuciła w tył głowę i wpatrując się w przybysza, wykrzyknęła z nagłą pasją: — Na co pan czeka? Proszę dzwonić i niech to się wreszcie skończy!

Starkwedder podszedł do wózka z ciałem.

— Nie tak prędko — rzekł. — Może za chwilę. Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani go zastrzeliła?

W tonie jej odpowiedzi znów zabrzmiała nutka ironii:

— Mogę panu podać kilka znakomitych powodów. Po pierwsze, pił. Pił ponad wszelką miarę. Po drugie, był okrutny. Wprost nie do wytrzymania, nienawidziłam go od lat. — Dostrzegłszy zdziwione spojrzenie Starkweddera, rzuciła gniewnie: — Czego pan się po mnie spodziewa? Co mam powiedzieć?

— Więc nienawidziła go pani od lat — mruknął jakby do siebie, przyglądając się z namysłem zwłokom. — Ale dziś... dziś wydarzyło się coś szczególnego, prawda?

— Ma pan absolutną rację — odparła Laura z emfazą. — Rzeczywiście, dziś wieczorem coś się wydarzyło. Dlatego... wzięłam broń, którą trzymał na stoliku przy wózku, i... zastrzeliłam go. Tak po prostu. — Rzuciła mu niecierpliwe spojrzenie. — Och, na co się zda to całe gadanie? Musi pan tylko zadzwonić na policję. Nie ma innego wyjścia. — Głos jej się załamał. — Nie ma wyjścia!

Starkwadder patrzył na nią z drugiego końca pokoju.

— To nie takie proste, jak się pani wydaje.

— Dlaczego? — spytała cicho.

Szedł ku niej, mówiąc wolno i z przekonaniem:

— Niełatwo jest spełnić to, do czego mnie pani namawia. Jest pani kobietą. Bardzo piękną kobietą.

Spojrzała na niego ostro.

— I co z tego?

Głos Starkweddera brzmiał teraz niemal wesoło.

— Teoretycznie nic. Ale praktycznie bardzo dużo. Przeniósł swój płaszcz na fotel we wnęce i wrócił do ciała.

— Ach, rozumiem, rycerskie zasady — zauważyła obojętnie Laura.

— Cóż, możemy to nazwać ciekawością, jeśli pani woli. Chciałbym wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

— Już panu powiedziałam — odrzekła po krótkim wahaniu.

Starkwadder okrążył wolno fotel z ciałem męża Laury, jakby zafascynowany widokiem.

— Podała mi pani nagie fakty, ale nic poza tym.

— I jeszcze znakomity motyw. Nie ma nic więcej do powiedzenia. Zresztą, czy musi mi pan wierzyć? Mogłam wymyślić pierwszą lepszą historyjkę. Ma pan tylko moje słowo, że Richard był potworem, że pił, że zatruł mi życie... że go nienawidziłam.

— Z tym ostatnim zgadzam się bez zastrzeżeń. W końcu mam jakieś dowody. — Podeszedł do sofy i spojrzał z góry na siedzącą Laurę. — Tak czy owak, to nieco drastyczne, prawda? Powiada pani, że nienawidziła męża od lat. Więc czemu go pani nie opuściła? To chyba znacznie prostsze.

— Ja... — szepnęła Laura z wahaniem — nie mam żadnych własnych pieniędzy.

— Ależ droga pani, wystarczyłoby udowodnić, że jest pijakiem, że się nad panią znęca i tak dalej! Z miejsca dostałaby pani rozwód czy separację, a na dodatek alimenty, czy jak to nazywają.

Umilkł i czekał na odpowiedź, ale Laura widocznie uznała ją za zbyt trudną. Wstała i, odwrócona tyłem do niego, poszła odstawić kieliszek.

— Ma pani dzieci?

— Nie... Dzięki Bogu, nie.

— No więc czemu go pani nie zostawiła?

Laura zwróciła ku niemu twarz, na której malowało się zmieszanie.

— Bo... Widzi pan, teraz mogę odziedziczyć jego pieniądze.

— Ależ nie! Prawo zabrania mordercy ciągnięcia zysków ze zbrodni. — Zrobił krok w jej stronę. — A pani myślała... — Urwał. — Co właściwie pani myślała?

— Nie wiem, o co panu chodzi.

— Przecież nie jest pani głupia. Nawet gdyby odziedziczyła pani jego pieniądze, co by pani z tego przyszło, skoro dostałaby pani dożywocie? — I usadowiwszy się wygodnie w fotelu, dodał: — Przypuśćmy, że nie zapukałbym do tych drzwi. Co by pani zrobiła?

— Czy to ważne?

— Może i nie, po prostu jestem ciekaw. Co by pani powiedziała, gdybym nie wtargnął tu i nie złapał pani na gorącym uczynku? Że to był wypadek? Czy też samobójstwo?

— Sama nie wiem — odrzekła Laura obojętnie. Wróciła na sofę i usiadła tak, żeby Starkwedder nie widział jej twarzy. — Nie mam pojęcia. Już mówiłam, nie miałam czasu zebrać myśli.

— No tak. Może i tak... Nie sądzę, żeby to była zbrodnia z premedytacją. Raczej zabójstwo w afekcie. Musiał pani czymś dopiec. Co to było?

— To nieważne.

— Co powiedział? — nie ustępował Starkwedder. — No, słucham!

Laura patrzyła mu spokojnie w oczy.

— Tego nie wyznam nikomu.

Starkwedder stanął za sofą.

— Będą o to pytać w sądzie.

— Nie odpowiem — powtórzyła z uporem. — Nie zmuszą mnie do tego.

— Ależ adwokat musi wiedzieć! — Pochylił się nad oparciem i wpatrując się w nią z przejęciem, ciągnął: — To może wszystko zmienić!

Laura zwróciła ku niemu udręczoną twarz.

— Nie rozumie pan? Nie ma żadnej nadziei. Jestem przygotowana na najgorsze.

— Co?! Tylko dlatego, że wszedłem przez te drzwi? Gdybym się tu nie zjawił...

— Ale się pan zjawił.

— No tak. A pani wciąż swoje... Czy naprawdę tak pani myśli?

Nie odpowiedziała.

— Proszę. — Poczęstował ją papierosem i sam zapalił. — A teraz cofnijmy się nieco w czasie. Więc nienawidziła pani męża, a dziś wieczorem on powiedział coś, co przepełniło kielich. Złapała pani broń, która leżała obok... — Urwał i spojrzał na rewolwer. — Dlaczego właściwie trzymał broń pod ręką? To dość niezwykle.

— Ach... Widzi pan, on lubił strzelać do kotów.

— Co takiego?! Do kotów?

— No cóż, chyba będę musiała to i owo wyjaśnić — rzekła z rezygnacją Laura.

III

Starkwedder patrzył na nią, z lekka oszołomiony.

— A więc?

Laura wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić:

— Richard polował kiedyś na grubego zwierza. Zresztą, poznaliśmy się właśnie w Kenii. Był wówczas zupełnie innym człowiekiem, a może krył się ze swymi wadami, eksponując zalety. Bo wie pan, on miał zalety, był wielkoduszny, odważny... Do szaleństwa odważny. I cieszył się wielkim powodzeniem u kobiet.

Zerknęła nagle na Starkweddera, jakby po raz pierwszy uświadomiła sobie jego obecność. Odwzajemniając to spojrzenie, podał jej ogień, potem zapalił swojego papierosa.

— Proszę mówić dalej.

— Pobraliśmy się wkrótce po pierwszym spotkaniu. Dwa lata później zdarzył się straszny wypadek: Richard został poturbowany przez lwa. Szczęśliwie uszedł z życiem, ale od tej pory był kaleką; nie mógł chodzić. — Odchyliła się do tyłu, wyraźnie rozluźniona. Starkwedder usiadł naprzeciwko niej na taborecie. Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła kłęb dymu. — Mówi się, że nieszczęścia dodatnio wpływają na charakter, ale w jego wypadku tak się nie stało. Przeciwnie, doszły do głosu najgorsze cechy: mściwość, skłonności sadystyczne... Poza tym, coraz więcej pił. Zatruewał życie wszystkim domownikom, a my musieliśmy to znosić, gdyż... och, sam pan wie, co się wtedy mówi: „Co za smutne życie dla biednego kaleki” i tak dalej. Oczywiście, popełniliśmy błąd, nie trzeba było pozwolić tak się zadreczać, teraz to widzę. Umacnialiśmy go tylko w przekonaniu, że jest na innych prawach i może robić, co mu się podoba, bez żadnych konsekwencji. — Podeszła do stolika przy fotelu i strząsnęła popiół do popielniczki. — A że przez całe życie najbardziej lubił strzelać, więc kiedy zamieszkaliśmy w tym domu, Angell (to jego osobisty służący i zarazem pielęgniarz) przynosił mu późnym wieczorem brandy i strzelbę, otwierał drzwi do ogrodu i Richard godzinami wpatrywał się w ciemność, czatując na błysk kocich oczu, dzikiego królika czy zbłąkanego psa. Oczywiście, ostatnio króliki zdarzały się bardzo rzadko, bo wyzdychały od tej zarazy... myksomatozy czy jakoś tak, ale kotów ustrzelił dość dużo. — Znow zaciągnęła się papierosem. — Zresztą, strzelał do nich i w dzień. Do ptaków także.

— I sąsiedzi się nie skarżyli?

— Jasne, że się skarżyli — odparła, wracając na sofę. — Mieszkamy tu raptem dwa lata. Przyjechaliśmy ze wschodniego wybrzeża, z Norfolk, gdzie ofiarą Richarda padł niejeden domowy ulubieniec. Dlatego właśnie postanowiliśmy się przenieść. Ten dom jest położony na odludziu, mamy tylko jednego sąsiada w promieniu kilku mil. Ale jest tu pełno wiewiórek, ptaków, no i bezpańskich kotów. — Zrobiła krótką przerwę. — Największy kłopot mieliśmy w Norfolk z powodu pewnej

kobiety, która zbierała zapisy na lokalny festyn. Kiedy odchodziła, Richard strzelał za nią raz z jednej strony, raz z drugiej, a potem pękał ze śmiechu. Opowiadał, że skakała jak zając, a jej tłusty zad trząsał się niczym galareta. Niestety, poszła poskarżyć się na policji i wynikła koszmarna awantura.

— Wyobrażam sobie — zauważył sucho Starkwedder.

— Ale Richardowi i tak się upiekło. Oczywiście miał pozwolenie na cały ten swój arsenał i zapewnił policjantów, że strzela wyłącznie do królików, a ta Butterfield to po prostu nerwowa stara panna, której coś się ubrdało. Richard zawsze potrafił wmówić ludziom, co chciał; z policją też poradził sobie bez kłopotu.

Starkwedder wstał z taboretu i podszedł do ciała Richarda Warwicka.

— Pani mąż miał cokolwiek wypaczone poczucie humoru — zauważył cierpko, zerkając na stolik obok wózka. — Rozumiem, o co pani chodzi. Że trzymanie pod ręką broni należało do stałych punktów wieczoru. Ale chyba dziś nie spodziewał się żadnego łupu. Przy takiej mgle?

— Ach, on zawsze kładł tu broń, każdego wieczora, jak dziecko ulubioną zabawkę. Czasem strzelał po ścianach, tworząc określone wzory. O, na przykład tam, proszę spojrzeć. — Wskazała na ogrodowe drzwi. — Tam, na lewo, za zasłoną.

Starkwedder podszedł tam i podniósł zasłonę po lewej stronie, odsłaniając boazerię ozdobioną wzorem z dziur po kulach.

— Wielkie nieba, to przecież jego inicjały: R.W. Nadzwyczajne! — Opuścił zasłonę i odwrócił się tyłem do Laury. — Muszę przyznać, że miał dobre oko. Hm... tak. Niebezpiecznie mieszkać z takim pod jednym dachem.

— Owszem — przyznała Laura dobitnie. — Zerwała się z miejsca z niemal histeryczną gwałtownością i podeszła do przybysza. — Musimy w kółko o tym gadać? — spytała z rozpaczą w głosie. — Po co odkładać to, od czego i tak nie da się uciec? Nie rozumie pan, że trzeba zatelefonować na policję? Nie ma pan wyjścia. O wiele miłosierniej będzie zrobić to od razu. A może ja mam zadzwonić? O to panu chodzi? W porządku, zajmę się tym sama.

Ruszyła szybko do telefonu, ale gdy podnosiła słuchawkę, Starkwedder przytrzymał jej rękę.

— Najpierw musimy porozmawiać — oświadczył.

— Porozmawialiśmy już. Zresztą i tak nie ma o czym.

— Owszem, jest. Może jestem głupi, ale musimy znaleźć jakieś wyjście.

— Wyjście? Dla mnie? — spytała Laura z niedowierzaniem.

— Tak. Dla pani. — Odszedł kilka kroków, a potem odwrócił się twarzą do niej. — Czy jest pani dostatecznie odważna? Potrafi pani skłamać w razie potrzeby? Przekonywająco skłamać?

Laura patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Jest pan szalony — wykrztusiła.

— Możliwe — zgodził się Starkwedder.

— Sam pan nie wie, co robi — rzekła kręcąc z zakłopotaniem głową.

— Przeciwnie, wiem doskonale. Robię z siebie współnika po fakcie.

— Ale dlaczego? Dlaczego? Starkwedder przyjrzał się jej uważnie.

— No właśnie, dlaczego? — powtórzył, po czym wolno i dobitnie odpowiedział: — Z bardzo prostego powodu. Jest pani piękną kobietą i nie mogę znieść myśli, że mieliby panią zamknąć na resztę życia w więzieniu. Dla mnie to tak samo straszne jak śmierć na stryczku. A sytuacja nie przedstawia się korzystnie. O ewentualnej prowokacji świadczyć może tylko pani słowo, słowo, którego za żadne skarby nie chce pani wypowiedzieć. Dlatego jest bardzo prawdopodobne, że sąd uzna panią za winną.

Laura patrzyła na niego z niezachwianym spokojem.

— Pan mnie nie zna. Wszystko, co powiedziałam, może okazać się kłamstwem.

— Owszem. Pewnie jestem frajerem, ale wierzę pani. Spuściła wzrok i opadła na taboret, tyłem do Starkweddera. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem nagle odwróciła się do niego z błyskiem nadziei w oczach. Patrząc na niego pytająco, prawie niezauważalnie skinęła głową.

— Tak — rzekła. — Potrafię skłamać w razie potrzeby.

— Świetnie! — ucieszył się Starkwedder. — A teraz do rzeczy, i to szybko. — Podeszedł do stolika przy wózku i strząsnął popiół do popielniczki. — Po pierwsze: kto jeszcze jest w domu? Kto tu mieszka?

Po chwili wahania Laura zaczęła mówić:

— Matka Richarda. Poza tym Benny... to znaczy, panna Bennett, ale nazywamy ją Benny — coś pośredniego między gospodynią a sekretarką. To dawna pielęgniarka ze szpitala, jest u nas od lat, bardzo oddana Richardowi. I Angell, chyba już o nim wspomniałam, osobisty służący, czasem pielęgniarz. Robił wszystko, co trzeba.

— Jest jeszcze ktoś ze służby?

— Nie, na stałe nie ma nikogo, tylko dochodzący. — Umilkła na chwilę. — Och! Zapomniałam o Janie.

— Jan? — rzucił ostro Starkwedder. — Któż to taki? Laura spojrzała na niego z zakłopotaniem.

— Przyrodni młodszy brat Richarda — wyznała niechętnie. — Mieszka z nami.

Starkwedder podszedł bliżej.

— Proszę wyrażać się jasno. Co z tym Janem? Czego nie chce mi pani powiedzieć?

Po chwili wahania zaczęła, ważąc każde słowo:

— Jan... to kochany chłopak. Bardzo miły, wrażliwy, tylko... trochę się różni od innych. Mówią, że jest nieco opóźniony w rozwoju.

— Ach, rozumiem. Lubi go pani, prawda?

— Lubię — przyznała Laura. — Bardzo go lubię. I właśnie dlatego nie mogłam się zdecydować na porzucenie męża. Bo gdyby Richard miał wolną rękę, z pewnością odesłałby Jana do zakładu dla upośledzonych umysłowo.

Starkwedder okrążał w zadumie wózek z ciałem.

— Rozumiem — mruknął. — Czy tym właśnie pani groził? Że jeśli pani odejdzie, to on odda chłopca do zakładu?

— Tak. Gdybym... gdybym tylko uwierzyła, że potrafię zarobić na utrzymanie swoje i Jana... Ale bałam się, że nie dam rady. Zresztą, Richard był prawnym opiekunem brata.

— Czy był dla niego dobry?

— Czasem tak.

— A czasem nie?

— Dość często wspominał, że go odda do zakładu. Tłumaczył mu: „Będą tam dobrzy dla ciebie, braciszku. Zaopiekują się tobą, jak należy. A Laura na pewno będzie cię odwiedzać parę razy w roku”. Lubił doprowadzać go do ostateczności, lubił, żeby Jan go prosił, żeby się przed nim płaszczył, a wtedy on odchyłał się do tyłu i wybuchał gromkim śmiechem.

— Rozumiem — powtórzył Starkwedder, obserwując ją uważnie. — Rozumiem.

Laura zerwała się z taboretu i poszła zgasić papierosa. — Nie musi pan mi wierzyć! — wykrzyknęła. — Nie musi pan wierzyć w ani jedno słowo! Wszystko to mogłam zmyślić!

— Powiedziałem już, że zaryzykuję. A ta... jak jej tam? Bennett... Benny... Jaka ona jest? Bystra?

— Jest bardzo sprawna i pojętna.

Starkwedder pstryknął palcami.

— Coś mi przyszło do głowy. Jak to się stało, że nikt nie usłyszał strzału?

— Cóż, matka Richarda to starsza osoba, prawie nie słyszy. Pokój Benny jest na drugim końcu domu, Angell ma w ogóle oddzielne mieszkanie za obitymi sukmem drzwiami. A Jan wprawdzie sypia nad tym pokojem, ale wcześniej się kładzie i ma mocny sen.

— Więc wszystko świetnie się składa — zauważył Starkwedder.

Laura wyglądała na zaintrygowaną.

— Co pan sugeruje? Żebyśmy upozorowali samobójstwo?

Obrócił się w stronę ciała.

— Nie, to beznadziejne. — Podeszedł do wózka i przyglądał się przez chwilę zwłokom. — Był praworęczny, prawda?

— Tak.

— No właśnie. Nie mógł więc strzelić do siebie pod tym kątem. — Wskazał na lewą skroń Warwicka. — Poza tym nie ma śladu osmalenia. — Zastanawiał się nad czymś przez chwilę. — Nie, strzał musiał paść z pewnej odległości. To wyklucza samobójstwo, ale... nie wypadek. Tak, zważywszy na wszystko, mógł to być wypadek.

Po dłuższym namyśle pokazał, o co mu chodzi.

— Powiedzmy, że przyszedłem tu dziś wieczorem... Zresztą, przecież tak było. Wtargnąłem przez te drzwi... — Podeszedł do wyjścia na taras i udał, że wślizguje się do pokoju.

— Richard wziął mnie za złodzieja i zaczął do mnie mierzyć z rewolweru. Cóż, to całkiem prawdopodobne, z tego, co mi pani opowiadała o jego zwyczajach. No więc podchodzę do niego... — Starkwedder ruszył szybko w stronę wózka — zabieram mu broń...

— I w trakcie szamotaniny pada strzał, tak? — wtrąciła Laura z błyskiem w oku.

— Tak — zgodził się Starkwedder, ale zaraz się poprawił: — Nie, to na nic. Jak już mówiłem, policja zaraz zauważy, że strzelano z większej odległości. — Namyślał się jeszcze przez parę sekund. — No dobra, powiedzmy, że mu tę broń zabrałem. — Lecz zaraz potrząsnął głową i machnął ręką z rezygnacją. — Nie, nie. Gdybym tak postąpił, to po diabła bym potem strzelał? Nie, obawiam się, że to za trudne. — Westchnął.

— No więc zostaniemy przy morderstwie. Czystym i prostym morderstwie. Ale dokonanym przez kogoś z zewnątrz. Przez osobę lub osoby nieznane.

Wrócił do oszklonych drzwi i przytrzymując zasłonę, wyjrzał na dwór, jakby w poszukiwaniu natchnienia.

— Może jakiś prawdziwy włamywacz? — podsunęła mu Laura usłużnie.

Starkwedder rozważał to przez chwilę.

— Cóż — rzekł wreszcie — może i tak, ale to chyba dość naciągane. — I po chwili dodał: — A co z wrogami? Brzmi to dość patetycznie, ale z tego, co mi pani mówiła, on mógł mieć wrogów, czyż nie?

— Taak — odrzekła niepewnie Laura. — Przypuszczam, że ich miał, ale...

— Teraz nie czas na „ale” — przerwał jej Starkwedder, gasząc papierosa w popielniczce na stoliku. Potem podszedł do sofy i stanął za plecami siedzącej tam Laury. — Proszę mi opowiedzieć wszystko o jego wrogach. Numer jeden to przypuszczalnie owa kobieta... no wie pani, ta z trzęsącym się tyłkiem, ta, którą straszył strzałami. Ale nie sądzę, aby była morderczynią. Zresztą, na pewno wciąż mieszka w Norfolk i trudno sobie wyobrazić, żeby kupiła zniżkowy powrotny do Walii tylko po to, żeby wygarnąć do pani męża. Kto jeszcze? Komu nadepnął na odcisk?

Laura miała niepewną minę. Wstała, obróciła się w kółko i zaczęła rozpinać żakiet.

— Cóż... — rzekła z wahaniem. — Rok temu był pewien ogrodnik. Richard wyrzucił go i odmówił wydania referencji. Ten człowiek miał wielkie pretensje, groził...

— Kto to był? Ktoś z tych okolic?

— Tak, pochodził z Llanfechan, około czterech mil stąd. Zdjęła żakiet i położyła go na poręczu sofy. Starkwedder się skrzywił.

— Nie robiłbym sobie wielkich nadziei. Założę się, że facet ma solidne alibi, typu „nie ruszałem się z domu”. A nawet jeśli nie ma albo tylko żona może je poświadczyć, przecież Bogu ducha winnego człowieka nie wmieszamy w sprawę o morderstwo. To na nic, nam potrzeba kogoś z zamierzchłej przeszłości, kogo nie tak łatwo odnaleźć.

Laura krążyła z wolna po pokoju, próbując się skoncentrować.

— A może ktoś z czasów polowań na lwy i tygrysy? — ciągnął Starkwedder. — Kenia, Afryka Południowa, Indie? Jakaś zapadła dziura, gdzie policja nie może wszystkiego sprawdzić od ręki?

— Niech no tylko pomyślę... Nic sobie nie przypominam! A Richard opowiadał tyle różnych historii...

— Nie mamy nawet pod ręką żadnego rekwizytu. Wie pani, jakiś sikhijski turban, beztróska zarzucony na karafkę, nóż Mau Mau albo zatruta strzala... — Przycisnął dłonie do czoła. — Niech to diabli, przecież trzeba nam tylko kogoś urażonego, kogoś, komu Richard nieźle dokopał... Myślże, kobieto! Myśl!

— Ja... nie mogę myśleć — odparła Laura łamiącym się ze zdenerwowania głosem.

— Przecież opowiadała mi pani, jaki to był człowiek. Wielkie nieba, musiało się coś zdarzyć, jakieś wypadki czy co...

Laura nie przestawała chodzić. Rozpaczliwie próbowała coś sobie przypomnieć.

— Nikt mu nie groził? Mam na myśli groźby karalne. Laura zatrzymała się w pół kroku.

— Mam! Przypomniałam sobie. To człowiek, któremu Richard przejechał dziecko!

IV

Starkwedder wytrzeszczył oczy.

— Richard przejechał dziecko? Kiedy to było?

— Jakies dwa lata temu. Mieszkaliśmy wtedy w Norfolk. Ojciec dziecka z całą pewnością się odgrażał.

Starkwedder usiadł na taborecie.

— No, to już jest coś! Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pani pamięta.

Laura namyślała się przez chwilę.

— Richard wracał z Cromer. Musiał stanowczo za dużo wypić przed jazdą. Przejeżdżał przez małą wioskę zygzakiem, z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę. Z gospody wybiegł chłopiec... prosto pod koła. Zginął na miejscu.

— Chce pani powiedzieć, że mąż prowadził samochód mimo swego kalectwa?

— Tak, prowadził. Miał auto robione na zamówienie, z przeróżnymi udogodnieniami.

— Rozumiem. A co się działo później? Policja zatrzymała go za zabójstwo?

— Odbyło się śledztwo, oczywiście — wyjaśniła Laura. Po chwili dodała z nutką goryczy w głosie: — I Richard został całkowicie uniewinniony.

— Byli jacyś świadkowie?

— Ojciec dziecka. Widział, jak to się stało. Ale była też pielęgniarka ze szpitala, siostra Warburton, która jechała z Richardem samochodem. Złożyła oczywiście zeznania. Według niej, prędkość pojazdu wynosiła poniżej trzydziestu mil na godzinę, a Richard wypił tylko kieliszek sherry. Dowodziła, że wypadku nie dało się uniknąć — chłopiec wybiegł nagle i prosto pod samochód. Sąd uwierzył jej, a nie ojcu dziecka, który upierał się, że samochód jechał po wariacku i z ogromną szybkością. Zdaje się, że ów człowiek dość gwałtownie wyrażał swoje uczucia. — Laura przeniosła się na fotel i dodała: — Widzi pan, każdy by uwierzył tej pielęgniarce. Wydawała się samą uczciwością. Taka solidna, stateczna, tak bardzo ważyła każde słowo... i w ogóle.

— Pani nie było w tym samochodzie?

— Nie, zostałam w domu.

— Więc skąd pani wie, że to, co mówiła pielęgniarka... jak jej tam, mogło mijać się z prawdą?

— Ach, Richard nie robił z tego żadnej tajemnicy — wyznała z goryczą. — Doskonale pamiętam, że po powrocie z przesłuchania powiedział: „Brawo, Warby, świetne przedstawienie! Gdyby nie ty, jak nie trafiłbym do pudła”. A ona na to: „Powinien pan tam trafić, panie Warwick. Sam pan wie, że jechał stanowczo za szybko, a to, co się stało z dzieckiem, to potworność!”. Richard jednak odrzekł: „Och, daj spokój! W końcu ci się to opłaciło. Zresztą, cóż znaczy jeden bachor mniej czy więcej na tym przeludnionym świecie? Wyniósł się stąd i tyle, ale zapewniam cię, że nie zakłóci to mojego snu”.

Starkwedder wstał z taboretu i zerknął przez ramię na ciało Richarda Warwicka.

— Im więcej słyszę o pani mężu — rzekł z ponurą miną — tym bardziej skłaniam się ku myśli, że to, co się tu dziś wydarzyło, to raczej usprawiedliwione zabójstwo niż zbrodnia.

— Zbliżając się do Laury, ciągnął: — Ale do rzeczy. Interesuje mnie ojciec dziecka. Jak on się nazywa?

— Miał jakieś szkockie nazwisko... Mac... MacLeod? MacCrae? Nie pamiętam.

— Ale musi pani sobie przypomnieć — nalegał Starkwedder. — Bardzo proszę, trochę wysiłku. Czy on wciąż mieszka w Norfolk?

— Nie, nie. Przyjechał tu tylko w odwiedziny. Chyba do krewnych żony. Pochodził, zdaje się, z Kanady.

— Kanada... Szmat drogi — zauważył Starkwedder. — Wiele wody upłynie, zanim się gościa namierzy. Taak — ciągnął, przechodząc za oparcie sofy — widzę tu pewne możliwości. Tylko, na miłość boską, proszę przypomnieć sobie nazwisko.

— Ruszył przez pokój do fotela, na którym położył płaszcz, wyjął z kieszeni rękawiczki i naciągnął je na ręce. Potem rozejrzał się wokoło i spytał: — Są tu jakieś gazety?

— Gazety? — zdziwiła się Laura.

— Nie chodzi mi o dzisiejsze. Wczorajsze, a jeszcze lepiej przedwczorajsze.

Laura podeszła do szafki obok fotela.

— Jest parę starych gazet. Trzymamy je tu na podpałkę.

Starkwedder otworzył drzwiczki i wyciągnął jakiś dziennik.

— Doskonale — oznajmił po sprawdzeniu daty. — Tego właśnie szukałem.

Zamknął szafkę, przeniósł gazetę na biurko i wyciągnął z przegródki nożyczki.

— Co pan chce zrobić? — zapytała Laura.

— Musimy sfabrykować jakieś dowody — odparł, machnąwszy nożyczkami dla podkreślenia swych słów.

Laura patrzyła na niego z popłochem w oczach.

— A co będzie, jeśli policji uda się go odnaleźć?

Starkwedder uśmiechnął się promiennie.

— Jeśli gość wciąż mieszka w Kanadzie, policja będzie musiała trochę popracować — oświadczył z wyraźną satysfakcją. — A do tego czasu na pewno znajdzie sobie jakieś alibi. Wystarczy sama odległość kilku tysięcy mil. Potem może być już za późno, żeby sprawdzić na miejscu to, co zezna. Zresztą, nic lepszego nie wymyślimy, a przynajmniej zyskamy na czasie.

Laura nie wyglądała na przekonaną.

— Nie podoba mi się to.

Starkwedder spojrzał na nią z pewną irytacją.

— Kochana, teraz nie czas na kaprysy. Proszę tylko przypomnieć sobie to nazwisko.

— Nie mogę. Mówiłam, że nie mogę — upierała się Laura.

— MacDougall? A może Mackintosh? — próbował jej pomóc.

Laura przycisnęła palce do uszu.

— Dosyć! — krzyknęła. — Tylko pogarsza pan sprawę. Teraz nie jestem już nawet pewna, czy to był w ogóle jakiś „Mac”!

— No cóż, jak nie, to nie. Będziemy musieli poradzić sobie bez nazwiska. A może pamięta pani jakąś datę czy w ogóle coś pożytecznego?

— Datę? Oczywiście. To był piętnasty maja.

— Jakim cudem zapamiętała to pani? — zdziwił się Starkwedder.

— Bo tak się składa, że to dzień moich urodzin — odparła ponuro.

— Ach tak... rozumiem. To nam rozwiązuje jeden problem. Poza tym mamy łut szczęścia: ta gazeta jest właśnie z piętnastego.

I wyciął starannie datę.

Zaglądając mu przez ramię, Laura zauważyła, że gazeta jest z piętnastego listopada, nie maja.

— No tak, ale tu chodzi o liczbę. „Maj” to krótkie słowo, o, tu mamy „m”, a tu „a” i „j”.

— Co pan właściwie robi? — spytała Laura. Odpowiedział jej pytaniem:

— Jest tu jakiś klej?

Laura chciała wyjąć z przegródki słoiczek, ale Starkwedder ją powstrzymał.

— Nie, proszę nie dotykać. Nie potrzebujemy tu odcisków palców. — Wziął słoiczek przez rękawiczkę i odkręcił wieczko. — Oto jak zostać kryminalistą po jednej prostej lekcji. O, świetnie, jest i zwykły blok papieru, taki, jakiego używa się na całych Wyspach Brytyjskich. — Wyjął bloczek z przegródki i zaczął przyklejać na kartce wycięte wyrazy. — Teraz uwaga: raz, dwa trzy... trochę to trudne w rękawiczkach, ale proszę, gotowe. „15 maja. Rachunek wyrównany”. O, tu odpadła litera. — Przykleił ją jeszcze raz. — No! Co pani na to? — Wydarł kartkę z bloczku, pokazał jej swe dzieło, po czym podszedł do ciała. — Wsunie my mu to do kieszeni, o tak. Ooo, a to co ma znaczyć?

Na podłogę wypadła zapalniczka. Laura wydała trwożny okrzyk i próbowała ją złapać, ale Starkwedder ją uprzedził i zaczął oglądać.

— Proszę mi to dać — krzyknęła Laura bez tchu. — Oddawaj!!

Nieco zdziwiony Starkwedder wręczył jej zapalniczkę.

— T—to moja — wyjaśniła niepotrzebnie.

— W porządku, należy do pani. Nie ma powodu do zmartwienia. — Spojrzał na nią z ciekawością. — Chyba nie zaczyna pani tracić głowy?

Oddalała się wolno w stronę sofy, wycierając ukradkiem zapalniczkę w spódnicę, jakby chciała usunąć odciski palców.

— Nie, oczywiście, że nie.

Upewniwszy się, że kartka z wyciętymi wyrazami spoczywa w kieszonce marynarki Warwicka, Starkwedder wrócił do biurka, zamknął słoiczek z klejem, zdjął rękawiczki i wyciągnął chustkę.

— Gotowe! — obwieścił. — Wszystko gotowe do następnego kroku. Gdzie pani kieliszek?

Laura podała go posłusznie Starkwedderowi, który już miał go wytrzeć, ale po namyśle zrezygnował.

— Nie — mruknął. — Nie, to byłoby głupie.

— Dlaczego?

— No bo jakieś odciski muszą tu być. Po pierwsze, służącego, a pewnie i męża pani. Brak jakichkolwiek odcisków wydałby się policji podejrzany. Pociągnął łyk ze swojego. — Teraz muszę wymyślić, skąd się wzięły moje. Zbrodnia to trudna sprawa, co?

— Och, nie! — wykrzyknęła Laura z pasją. — Nie! Proszę się w to nie mieszać! Mogą pana podejrzewać!

— Ależ ja jestem szanowanym obywatelem — odparł z uśmiechem rozbawienia Starkwedder. — Poza wszelkimi podejrzeniami. Zresztą do pewnego stopnia już się wmieszałem. Mój samochód nadal tkwi w rowie. Proszę się jednak nie martwić. Drobne krzywoprzysięstwo, małe szachrajstwo z czynnikiem czasu — nic więcej na mnie nie znajdują. Oczywiście, jeśli pani odegra prawidłowo swoją rolę.

Wystraszona Laura siedziała tyłem do niego na taborecie. Starkwedder obszedł go i spojrzał jej w twarz.

— A więc jest pani gotowa?

— Gotowa... na co? — spłoszyła się Laura.

— No, no, proszę się wziąć w garść.

— Ja... jakoś głupio się czuję — szepnęła. — N—nie mogę zebrać myśli.

— Nie musi pani myśleć. Wystarczy słuchać moich poleceń. A oto plan: po pierwsze, czy w tym domu jest jakieś palenisko?

— Palenisko? — Zastanawiała się przez chwilę. — Owszem, jest bojler na wodę.

— Dobrze. — Podszedł do biurka, zawinął w gazetę skrawki papieru i zaniósł pakunek Laurze. — Przede wszystkim pójdzie pani do kuchni i wsadzi to do pieca bojlera. Następnie uda się pani na górę, przebierze w nocną koszulę czy negligię... — Urwał. — Ma pani aspirynę?

— Mam.

— No więc — mówił Starkwedder, obmyślając jednocześnie kolejne kroki — najpierw wysypie pani zawartość buteleczki do muszli. Potem pójdzie pani do... na przykład do teściowej albo tej Bennett, poskarży się na ból głowy i poprosi o trochę aspiryny. A ponieważ zostawi pani otwarte drzwi, po chwili usłyszycie strzał.

— Jaki strzał? — przeraziła się Laura.

Starkwedder bez słowa podszedł do stolika przy wózku i wziął do ręki rewolwer.

— Tak, tak — mamrotał do siebie w roztargnieniu. — Przyjrzyjmy się temu... Hm. Wygląda na zagraniczny. To pamiątka z wojny, prawda?

— Nie wiem — odparła Laura, podnosząc się z taboretu. — Richard miał kilka zagranicznych okazów broni.

— Ciekawe, czy jest zarejestrowany? — zastanawiał się Starkwedder.

— Miał pozwolenie, jeśli o to panu chodzi. Na całą swoją kolekcję.

— Tak przypuszczałem. Ale to nie znaczy, że wszystkie sztuki były zarejestrowane na jego nazwisko. W praktyce ludzie rzadko pilnują tych spraw. Czy ktoś może wiedzieć na pewno, jak było?

— Chyba Angell. To ma jakieś znaczenie?

— Cóż, tak jak próbujemy to przedstawić — tłumaczył! Starkwedder chodząc po pokoju — stary Mac Jakiś, ojciec przejechanego chłopca, wpadł tu, dysząc żądzą mordy, z własną bronią gotową do strzału. Ale można też inaczej: facet wchodzi, na pół rozbudzony Richard łapie za broń. Ten drugi próbuje mu ją wyrwać i pada strzał. Wiem, że to trochę naciągane, ale ostatecznie ujdzie. Musimy ponieść pewne ryzyko, tego się nie da uniknąć.

Odłożył rewolwer na stolik i podszedł do Laury.

— Czy przemyśleliśmy wszystko? Mam nadzieję, że tak. Policja nie powinna się zorientować, że strzał oddano kwadrans czy dwadzieścia minut wcześniej. Jazda w tych warunkach zabierze im sporo czasu. — Podniósł zasłonę i przyjrzał się śladom po kulach. — „R.W”, bardzo ładnie. Postaram się dodać kropkę.

Opuścił zasłonę na miejsce i wrócił do Laury.

— Kiedy rozlegnie się strzał, podniesie pani alarm i sprowadzi tu pannę Bennett czy kogoś innego. Obudziła się pani z okropnym bólem głowy i wstała, żeby poszukać aspiryny — nic więcej pani nie wie, jasne?

Laura skinęła głową.

— Dobrze. Resztę proszę zostawić mnie. Nic pani nie dolega?

— Nie, chyba nie.

— Więc proszę robić, co do pani należy. Zawahała się nieco.

— Pan... pan nie powinien tego robić. Niepotrzebnie pan się w to miesza.

— Nie chcę już tego słyszeć. Każdy ma swoje... jak to się mówi? Gry i zabawy. Pani już się zabawiła — strzelając do męża, teraz moja kolej. Powiedzmy, że zawsze marzyłem, by przeżyć prawdziwą kryminalną przygodę. — Posłał jej krzepiący uśmiech. — A więc potrafi pani odegrać swoją rolę?

— Tak.

— W porządku. O, widzę, że ma pani zegarek. Którą godzinę wskazuje?

Kiedy mu pokazała, nastawił swój na identyczny czas.

— Jest za dziesięć dwunasta. Dam pani trzy... nie, cztery minuty. Cztery minuty, żeby wsadzić gazety do pieca, pójść na górę, rozebrać się i obudzić pannę Bennett czy tam kogo. Dasz radę... Lauro?

Przytaknęła.

— Za pięć dwunasta usłyszysz strzał. Zmykaj.

Tuż przed progiem obejrzała się na niego z niepewną miną. Starkwedder przeszedł przez pokój i otworzył przed nią drzwi.

— Chyba nie chcesz mnie wsypać?

— Nie.

Wychodziła już, kiedy zauważył zakiet na poręczy sofy. Zawołał Laurę i podał go jej z uśmiechem. Potem starannie zamknął drzwi.

V

Załatwiwszy rzecz z Laurą, Starkwedder przystanął, zastanawiając się, co dalej. Po chwili zerknął na zegarek i wyjął | papierosa. Następnie podszedł do stolika przy fotelu i wyciągnął rękę po zapalniczkę, gdy nagle na jednej z półek zobaczył fotografię Laury. Zdjął ją, obejrzał, po czym uśmiechnął się i odstawił z powrotem. Zapalił papierosa, odłożył zapalniczkę na stolik. Wyjął chustkę, startł odciski| palców z poręczy fotela i z fotografii, postawił krzesło na miejscu. Z obu popielniczek zabrał niedopałki, po czym zajął się biurkiem: usunął odciski palców, położył na miejsce nożyczki, bloczek i bibularz. Przyjrzał się podłodze, podniósł zapomniany skrawek papieru i zmiąwszy go, wetknął do kieszeni spodni. Wytarł dokładnie wyłącznik przy drzwiach i krzesła, wziął z biurka latarkę, podszedł do oszklonych drzwi, odsunął nieco zasłonę i skierował promień na ogrodową ścieżkę.

— Za bardzo ubita, żeby zostały ślady stóp — mruknął do siebie.

Odłożył latarkę na stolik przy wózku i wziął rewolwer. Upewniwszy się, że jest naładowany, wytarł go i położył na taborecie. Zerknąwszy raz jeszcze na zegarek, podszedł do fotela we wnęce, włożył kapelusz, szalik i rękawiczki. Z przewieszonym przez ramię płaszczem ruszył do drzwi. Wyciągał już rękę do kontaktu, gdy przypomniał sobie o odciskach palców na klamce. Dopiero po ich usunięciu zgasił światło, wrócił do taboretu i zostawił tam płaszcz. Podniósł broń i wymierzył w ścianę, ale tuż przed strzałem zorientował się, że ślady po kulach kryje zasłona.

— Cholera! — mruknął. — Prędko postawił krzesło od biurka tak, żeby przytrzymało zasłonę, potem wrócił na stanowisko przy taborecie, wystrzelił i podszedł do ściany, żeby przyjrzeć się, gdzie trafił. — Nieźle! — pogratulował sobie.

Kiedy odstawiał krzesło na miejsce, usłyszał z hallu głosy. Rzucił się do oszklonych drzwi, pamiętając o zabraniu broni, i wypadł na dwór. Chwilę później wrócił, złapał latarkę i ponownie zniknął.

Z różnych stron domu czworo ludzi szło spieszenie w stronę gabinetu. Matka Richarda Warwicka, wysoka, imponująca starsza dama w szlafroku, wyglądała blado i poruszała się o lasce.

— Co się stało, Janie? — spytała kilkunastoletniego chłopca o dziwnej, podobnej do oblicza fauna, lecz raczej niewinnej twarzy, stojącego w pizamie na podeście schodów. — Czemu wszyscy włóczą się po nocy? — dodała gniewnie na widok siwej kobiety w średnim wieku, odzianej w praktyczny flanelowy szlafrok, która chowała się za plecami Laury. — Benny! Natychmiast mów, o co tu chodzi! Czyście wszyscy powariowali? Lauro, co tu się dzieje? Janie... Czy ktoś mi wreszcie odpowie?

— Założę się, że to sprawka Richarda — rzekł chłopiec, który wyglądał na jakieś dziewiętnaście lat, choć, sądząc z głosu i zachowania, powinien być znacznie młodszy. — Pewnie znowu strzelał w mgłę. — Po czym dodał z rozdrażnieniem: — Powiedzcie mu, że nie wolno strzelać i budzić nas z

pięknych snów. Ja już mocno spałem i Benny także. Prawda, Benny? Uważaj, Lauro, Richard jest niebezpieczny. Ty też się pilnuj, Benny.

— Na dworze jest gęsta mgła — zauważyła Laura, wyglądając przez okno na podeście. — Prawie nie widać ścieżki. Nie wyobrażam sobie, do czego on mógł strzelać w tych warunkach, to absurd. Poza tym chyba słyszałam krzyk.

Panna Bennett — żwawa, energiczna kobieta o wyglądzie szpitalnej pielęgniarki, którą zresztą była — przemówiła dość władczy tonem:

— Doprawdy nie rozumiem, Lauro, czym się tak przejmujesz. Richard po prostu zabawia się jak zwykle. Co do mnie, to żadnego strzału nie słyszałam, jestem pewna, że nic złego się nie stało, a ty masz zbyt bujną wyobraźnię. Ale z pewnością postąpił bardzo egoistycznie i zamierzam mu to powiedzieć. Richard! — zawołała, wchodząc do gabinetu. — Tego już za wiele, jak na tę porę! Wystraszyłeś nas... Richard!

Przebrana w szlafrok Laura weszła zaraz za nią, a kiedy zapaliła światło, wsunął się Jan. Spojrzał na pannę Bennett, stojącą przy wózku.

— Co jest, Benny? O co chodzi?

— Richard — odrzekła dziwnie spokojnym głosem. — Richard się zastrzelił.

— Patrzcie! — krzyknął chłopiec, wskazując palcem stolik. — Nie ma rewolweru!

Wtem z ogrodu odezwał się głos:

— Co tam się dzieje? Czy stało się coś złego?

Jan wyrzał przez okienko we wnęce.

— Słuchajcie! Tam ktoś jest!

— W ogrodzie? — zdziwiła się panna Bennett. — Kto?

Ruszyła do oszklonych drzwi i próbowała odsunąć zasłonę, kiedy nagle zjawił się Starkwedder. Przestraszona kobieta cofnęła się o krok, on zaś wysunął się naprzód i powtórzył pytanie:

— Co tu się stało? — Wtem jego wzrok padł na ciało Richarda Warwicka. — Ten człowiek nie żyje! Został zastrzelony!

Omiótł podejrzliwym spojrzeniem twarze zebranych.

— Kim pan jest? — spytała panna Bennett. — Skąd pan się tu wziął?

— Po prostu wjechałem w rów. Błąkam się od kilku godzin. Zobaczyłem bramę i chciałem dostać się do telefonu, żeby sprowadzić pomoc, gdy nagle usłyszałem strzał. Ktoś wybiegł przez te drzwi i

zderzył się ze mną. — Podniósłszy w górę broń, dodał: — wyrzucił to!

— Dokąd pobiegł?

— Skąd mogę wiedzieć przy tej mgle?

Jan stał przed wózkiem, wpatrując się rozszerzonymi oczami w ciało brata.

— Ktoś zastrzelił Richarda! — wrzasnął.

— Na to wygląda — zgodził się Starkwedder. — Trzeba zadzwonić na policję. — Odłożył rewolwer na stolik, wziął karafkę i nalał do kieliszka brandy. — Kto jest ofiarą?

— Mój mąż — odpowiedziała beznamiętnie Laura, zmierzając w stronę sofy.

— Proszę — rzekł Starkwedder z nieco wymuszoną troską. — Proszę to wypić. — A gdy podniosła na niego wzrok, dodał z naciskiem: — Przeżyła pani szok.

Kiedy odwrócona tyłem do innych brała z jego rąk kieliszek, uśmiechnął się konspiracyjnie, chcąc zwrócić jej uwagę na to, jak rozwiązał problem odcisków palców. Rzucił kapelusz na fotel i nagle zauważył kątem oka, że panna Bennett pochyła się nad ciałem. Błyskawicznie obrócił się w jej stronę.

— Nie, nie! Proszę niczego nie ruszać! To wygląda na morderstwo!

Panna Bennett szybko wyprostowała się i cofnęła od wózka, wyraźnie przejęta.

— Morderstwo?! To wykluczone!

Od progu rozległ się głos starszej pani:

— Co tu się stało?

— Zastrzelili Richarda! Zastrzelili Richarda! — wołał Jan, bardziej podniecony niż przejęty.

— Cicho bądź — upomniała go panna Bennett.

— Co on powiedział? — dopytywała się pani Warwick.

— On mówi — odrzekła tamta, wskazując Starkweddera — że to morderstwo.

— Richard... — szepnęła pani Warwick. Tymczasem Jan pochylił się nad ciałem.

— Patrzcie! Patrzcie! Tu coś jest... Jakaś karteczka z napisem!

Starkwedder w ostatniej chwili złapał chłopca za rękę.

— Nie ruszaj! Cokolwiek to jest, nie ruszaj! — Potem głośno i wyraźnie odczytał: — „15 maja.

Rachunek wyrównany”.

— Dobry Boże, MacGregor! — wyrwało się panie Bennett. Pani Warwick zmarszczyła brwi

— Chcesz powiedzieć — rzekła — że to ten ojciec przejechanego dziecka?

— Oczywiście, MacGregor — mruknęła Laura. Jan podszedł do ciała.

— Spójrzcie! To wszystko jest wycięte z gazety!

Starkwedder ponownie go ostrzegł:

— Nie dotykaj! Policja się tym zajmie. — Ruszył w stronę telefonu. — Państwo pozwolą?

— Nie — zaprotestowała pani Warwick. — Ja to zrobię.

Przejawszy w ten sposób pałeczkę, podeszła odważnie do biurka i zaczęła wybierać numer. Podekscytowany Jan ukląkł na taborecie.

— Ten człowiek, który dał dyla? — spytał pannę Bennett. — Myślisz, że on...

— Cicho, Janie — ofuknęła go pielęgniarka.

Pani Warwick cichym, lecz opanowanym głosem mówiła do słuchawki:

— Czy to posterunek policji? Tu Llangelert House, dom pana Richarda Warwicka. Pan Warwick został zastrzelony. Właśnie znaleźliśmy ciało. — Nie podnosząc głosu, choć wszyscy obecni pilnie słuchali, ciągnęła: — Nie, to ktoś obcy go znalazł... Pan, któremu zepsuł się samochód koło naszego domu... Dobrze, powiem mu... Zadzwoń do gospody... Czy możecie go tam podwieźć, kiedy już tu skończycie?... Doskonale. — Odwróciwszy się do zebranych, oznajmiła: — Policja przyjedzie, gdy tylko przebije się przez mgłę. Mają dwa samochody, jednym z nich podwiozą tego pana do gospody we wsi. Prosimy, żeby pan tam przenocował i zgłosił się do nich rano.

— Cóż, niech i tak będzie — zgodził się Starkwedder. — Zresztą nie mogę wyjechać, bo moje auto ciągle tkwi w rowie.

Gdy to mówił, w drzwiach stanął niewysoki ciemnowłosy mężczyzna po czterdziestce.

— Coś się stało, proszę pani? — zwrócił się do pani Warwick, zawiązując szlafrok. Nagle zobaczył ciało. — O Boże! — wykrzyknął.

— Obawiam się, Angell, że wydarzyła się tragedia — powiedziała starsza pani. — Pan Richard został zastrzelony i zaraz przyjedzie policja. — Po czym, zwracając się do Starkweddera, dodała: — To Angell. Jest... był osobistym służącym mego syna.

Angell skłonił się z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od martwego chlebobawcy.

— Boże, Boże... powtarzał.

VI

Nazajutrz o jedenastej gabinet Richarda Warwicka przedstawiał nieco inny obraz niż poprzedniego mglistego wieczora. Po pierwsze, była piękna, słoneczna pogoda i mimo chłodu oszklone drzwi stały otworem. W ciągu nocy wywieziono zwłoki, a wózek umieszczono we wnęce. Centralne miejsce w pokoju zajmował teraz fotel. Z podręcznego stolika usunięto wszystko poza karafką i popielniczką. Na wózku Warwicka siedział przystojny młody człowiek w wieku około dwudziestu lat i czytał tomik wierszy. Po pewnym czasie wstał.

— Piękne — mruknął do siebie. — Bardzo trafne i piękne. Miał miękki, melodyjny głos i walijski akcent. Młodzieniec zamknął książkę i odłożył ją na półkę we wnęce. Następnie rozejrzawszy się uważnie po pokoju, wyszedł na taras. W tej samej niemal chwili od strony hallu pojawił się tęgi jegomość w średnim wieku o twarzy pokerzysty, z teczką w ręku. Podeszedł do fotela, który stał frontem do tarasu, i położywszy na nim teczkę, wyrżał przez okno.

— Sierzancie Cadwallader! — zawołał ostro. Młody człowiek zawrócił do gabinetu.

— Dzień dobry, panie inspektorze! — przywitał szefa i dodał swym śpiewnym głosem:

— „Poro mgieł i miękkiego owocu rumieńca, Powiernico sekretów Słońca...”*

Inspektor, który rozpiął właśnie płaszcz, znieruchomiał na chwilę i spojrzał z uwagą na sierżanta.

— Słucham, słucham? — rzekł z wyraźną nutą sarkazmu.

— To Keats — poinformował go młodzieniec, bardzo z siebie zadowolony.

Inspektor obrzucił go ciężkim spojrzeniem. Potem, wzruszywszy ramionami, zdjął okrycie, umieścił je na wózku i wrócił po teczkę.

— Aż trudno uwierzyć w tak piękny poranek — ciągnął sierżant. — Zwłaszcza gdy się pomyśli o tym paskudnym wczorajszym wieczorze. Najgęstsza mgła, jaką widziałem od lat! „Żółta mgła, co ociera się grzbietem o szyby...” A to znów Eliot*. — Czekał przez chwilę na reakcję przełożonego, a nie doczekawszy się, ciągnął: — Nic dziwnego, że na drodze do Cardiff nastąpiło takie spiętrzenie wypadków.

— Mogło być gorzej — brzmiał obojętny komentarz inspektora.

— Nic nie wiem o tym tutaj — ożywił się młodzieniec. — W Porthcawl, tam dopiero było! Jeden trup i dwójka dzieci ciężko ranna. I ta matka zalewająca się łzami na drodze...

— Czy chłopcy od odcisków palców skończyli robotę? — przerwał mu inspektor.

Sierżant Cadwallader zrozumiał, że trzeba zejść na ziemię.

— Tak, panie inspektorze. Tu mam wyniki.

Wziął z biurka skoroszyt, otworzył go i podał przełożonemu. Inspektor usiadł przy biurku i zaczął przeglądać pierwszą stronę.

— Domownicy nie protestowali przeciw pobieraniu odcisków? — zapytał.

— Nie, ani trochę. Byli bardzo życzliwi, chętni do współpracy, że tak powiem. To zresztą oczywiste.

— No, nie wiem — zauważył inspektor. — Zwykle ludzie bronią się rękami i nogami. Zupełnie jakby ich odciski miały trafić do Galerii Przeszłości. — Wziął głęboki oddech, przeciągnął się i wrócił do studiowania odcisków. — Zobaczmy, co tu mamy. Pan Warwick... znaczy, ofiara. Laura Warwick, jego żona. Starsza pani Warwick, matka denata. Młody Jan Warwick, panna Bennett, a to kto? Angle... nie, Angell. Ach, tak, to ten służący czy pielęgniarz, prawda? I jeszcze dwa inne zestawy. Hm... Po zewnętrznej stronie drzwi, na karafce, na kieliszku do brandy. Te nakładają się na odciski Richarda Warwicka, jego żony i tego Angella. A drugie — na zapalniczce i na rewolwerze — należą chyba do tego faceta, Michaela Starkweddera. Podawał brandy pani Warwick i to on przecież przyniósł broń z ogrodu.

Sierżant Cadwallader pokiwał wolno głową.

— Pan Starkwedder... — burknął podejrzliwie.

— Nie spodobał się wam? — spytał nieco tym ubawiony inspektor.

— Ciekawe, co on tu robi? Bardzo chciałbym to wiedzieć. Tak po prostu wjechał samochodem do rowu, a potem trafił akurat do domu, w którym popełniono morderstwo?

Inspektor obrócił się twarzą do młodszego kolegi.

— O mały włos sami wylądowalibyście w rowie, jadąc do domu, w którym popełniono morderstwo. Pytacie, co on tu robi? Otóż już od tygodnia szwenda się po okolicy, bo chce tu kupić dom.

Sierżant nie wyglądał na przekonanego, więc inspektor obrócił się z powrotem do biurka i dodał cierpko:

— Zdaje się, że przyjeżdżał tu w dzieciństwie na wakacje, bo jego babka była Walijką.

— Ach, no skoro miał babkę Walijkę... — dał za wygraną sierżant. — To całkiem co innego, prawda? — Podniósł prawą rękę i wyrecytował:

— „Jedna droga na Londyn, Druga droga do Walii. Moja droga ku morzu, Gdzie żagle się bielą na fali”.*

Kawał poety z tego Masefielda. Zupełnie niedoceniony. Inspektor otworzył usta, żeby powiedzieć mu coś cierpkiego, ale zrezygnował i tylko się uśmiechnął.

— Lada chwila powinien nadejść z Abadanu raport na temat Starkweddera. Zdjęliście jego odciski dla porównania?

— Wysłałem Jonesa do gospody, w której spędził noc, ale Podobno wyszedł do warsztatu w sprawie samochodu. Jones tam zadzwonił i rozmawiał z tym gościem. Ma się jak najprędzej zameldować na posterunku.

— Słusznie. Teraz co do tego drugiego zestawu. To odcisk dłoni na stoliku obok ciała i dwa niewyraźne po obu stronach oszklonych drzwi.

— Idę, o zakład, że to ten MacGregor! — wykrzyknął sierżant, strzelając palcami.

— Ta-ak. Możliwe — przyznał niechętnie inspektor. — Ale na rewolwerze ich nie ma. Można by się spodziewać, że każdy, kto zabija kogoś z rewolweru, ma dość rozsądku, by najpierw włożyć rękawiczki.

— Niekoniecznie. Taki niezrównoważony gość jak ten MacGregor, obłąkany po śmierci dziecka, raczej by o tym nie pomyślał.

— Cóż, niedługo przyślą nam z Norwich rysopis MacGregora.

Sierżant usadowił się na taborecie.

— To smutna historia, jakkolwiek na to spojrzeć. Człowiek dopiero co stracił żonę, a potem jakiś pirat drogowy rozjeżdża mu syna...

— Gdyby to rzeczywiście było, jak to nazywacie, piractwo, Richard Warwick dostałby wyrok za zabójstwo, a przynajmniej za nieostrożną jazdę. Tymczasem nawet nie odnotowano tego na jego prawie jazdy. — Inspektor sięgnął po teczkę i wyjął morderczą broń.

— Czasem słyszy się tak potworne kłamstwa — mruknął ponuro sierżant. — „Boże, Boże, ile w tym świecie pociągu do kłamstwa!”. To Szekspir*.

Przełożony uniósł się lekko i skarcił go spojrzeniem. Sierżant natychmiast wyprężył się służbiście.

— Odcisk dłoni na stoliku... — mruknął inspektor. Podeszedł do stolika, zabierając z sobą broń, i przyjrzał się blatowi. — Ciekawe.

— Może to jakiegoś gościa — podsunął mu sierżant usłużnie.

— Może. Ale z tego, co mówiła pani Warwick, wynika, że w domu nie było wczoraj żadnych gości. Ten służący Angell... może on coś wie. Sprowadźcie go tutaj.

— Tak jest! — odrzekł sierżant i wyszedł.

Pozostawiony sam sobie inspektor rozcapierzył lewą dłoń na stoliku i pochylił się nad krzesłem, jakby przyglądał się komuś, kto tam siedzi. Następnie wyszedł na dwór, spojrział w prawo, potem w lewo. Zbadał zamek oszklonych drzwi i wrócił do pokoju prawie jednocześnie z sierżantem i Angellem, ubranym w szary alpakowy surdut, białą koszulę, ciemny krawat i prążkowane spodnie.

— Henry Angell, prawda?

— Tak proszę pana.

— Siadajcie.

Angell posłusznie zajął miejsce na sofie.

— Od jak dawna opiekowaliście się panem Richardem Warwickiem?

— Od trzech i pół roku.

Mimo poprawnych manier w oczach Angella czaił się fałsz.

— Lubiliście swoją pracę?

— Uważałem ją za całkiem zadowalającą.

— Co możecie powiedzieć o panu Warwicku jako chlebodawcy?

— No cóż... Był dość trudny.

— Ale miał jakieś zalety?

— O tak! Znakomicie mi płacił.

— I to równoważyło jego wady, co?

— Tak, proszę pana. Próbuje coś sobie odłożyć. Inspektor odłożył broń na stolik i usadowił się w fotelu.

— A czym zajmowaliście się przedtem?

— Po prostu wykonywałem swój zawód, proszę pana. Mogę pokazać referencje. Wszyscy byli ze mnie zadowoleni, jak sądzę. Miałem dość trudnych chlebodawców, czy raczej pacjentów. Na przykład sir James Walliston, który teraz przebywa w szpitalu dla umysłowo chorych, zresztą na własne życzenie. Baardzo trudny pacjent. — I zniżając głos, dodał: — Narkotyki!

— Ach, tak. Ale chyba w przypadku pana Warwicka nie było o tym mowy?

— Nie, proszę pana. Pan Warwick wolał brandy.

— I przesadzał z tym, co?

— Owszem, pił bardzo dużo, ale nie był alkoholikiem, jeśli wie pan, co mam na myśli. Nigdy nie pozwalał sobie na żadne ekscesy.

Inspektor namyślał się chwilę przed następnym pytaniem.

— A co z tą bronią, z rewolwerami? Podobno strzelał do zwierząt?

— Rzeczywiście, miał takie hobby. W naszym zawodowym żargonie nazywamy to kompensacją. W swojej sypialni zgromadził cały arsenał: karabiny, dubeltówki, wiatrówki, pistolety, rewolwery...

— Rozumiem. No to teraz rzućcie okiem na tę broń. Angell podszedł do stolika i zawahał się nieco.

— Bez obawy — uspokoił go inspektor. — Możecie śmiało dotykać. Poznajecie ten okaz?

— Trudno powiedzieć, proszę pana — rzekł Angell, biorąc niepewnie rewolwer. — Wygląda na jeden z kolekcji mego pana, ale nie bardzo znam się na broni. Nie potrafię stwierdzić z całą pewnością, co miał pod ręką wczorajszej nocy.

— Czy zawsze wybierał to samo?

— Ach, nie, miał swoje kaprysy — odparł służący, oddając rewolwer inspektorowi. — Używał różnych rodzajów broni.

— Po co miałby trzymać pod ręką broń przy takiej mgle jak wczoraj?

— Po prostu z przyzwyczajenia. Można to nazwać nawykiem.

— No dobra, wracajcie na miejsce.

Angell ponownie usiadł na sofie. Inspektor obejrzał lufę i spytał:

— Kiedy po raz ostatni widzieliście pana Warwicka?

— Mniej więcej za kwadrans dziesiąta. Miał przy sobie butelkę brandy, kieliszek i wybrany pistolet. Poprawiłem mu pled i powiedziałem „dobranoc”.

— Czy on się w ogóle nie kładł?

— Nie, proszę pana. Przynajmniej nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Zawsze sypiał w fotelu. O szóstej rano przynosiłem mu filiżankę herbaty, a potem zawoziłem go do sypialni. Miał tam własną łazienkę, gdzie kąpał się, golił i tak dalej, a potem spał aż do lunchu. Przypuszczam, że nocą cierpiał na bezsenność, dlatego wołał nie kłaść się do łóżka. To w ogóle był dość ekscentryczny dżentelmen.

— Czy kiedy wychodziliście, drzwi na taras były zamknięte?

— Tak, proszę pana. Pan Warwick nie chciał, żeby do domu dostała się mgła.

— W porządku, więc były zamknięte. Czy na zamek?

— Nie, nigdy nie używamy zamka.

— Więc w każdej chwili mógł je otworzyć?

— O tak! Przecież fotel ma kółka. Pan mógł podjechać i otworzyć drzwi, gdyby się przejaśniło.

— Rozumiem. — Inspektor zamyślił się na chwilę. — A słyszeliście strzał?

— Nie, proszę pana.

Inspektor podszedł do sofy i spojrzał na Angella z góry.

— Czy to nie dziwne?

— Nie, raczej nie — brzmiała odpowiedź. — Wie pan, mój pokój jest dość oddalony. Trzeba iść korytarzem i minąć obite sukmem drzwi w drugim końcu domu.

— Dość osobliwy pomysł. A gdyby pan was w nocy potrzebował?

— To mógł po prostu zadzwonić.

— Ale wczorajszej nocy nie zadzwonił?

— O nie, obudziłbym się od razu. To bardzo głośny dzwonek, że tak powiem.

Inspektor Thomas przechylił się przez bok sofy i spróbował podejść Angella inaczej:

— Czy... — zaczął, starając się nie okazywać niecierpliwości, ale w tym momencie rozległ się przeraźliwy dzwonek telefonu.

Inspektor spodziewał się, że sierżant Cadwallader podniesie słuchawkę, ale ten zdawał się śnić na jawie. Poruszał bezgłośnie ustami, prawdopodobnie pełen poetyckiego natchnienia. Po chwili zorientował się jednak, że przełożony na niego patrzy, a telefon wciąż dzwoni.

— Przepraszam, szefie, ale właśnie kluje mi się wiersz — wyjaśnił, ruszając w stronę telefonu. — Tu sierżant Cadwallader... Ach tak, w rzeczy samej. — Obrócił się do inspektora. — To policja z Norwich.

Inspektor wziął od niego słuchawkę i usiadł przy biurku.

— To ty, Edmundson? Tu Thomas... Ja sne, w porządku... Tak... Calgary, tak... Tak, ciotka... Kiedy zmarła?... Ze dwa miesiące temu... Taak, rozumiem... Calgary, Trzydziesta Czwarta Ulica numer osiemnaście. — Rzucił Cadwalladerowi niecierpliwe spojrzenie, dając mu gestem do zrozumienia, że ma zanotować adres. — Tak... Och, rzeczywiście?... Trochę wolniej, proszę. — Spojrzał znacząco na sierżanta. — Wzrost średni, oczy niebieskie, ciemne włosy i broda... Tak,

skoro tak mówisz... Pamiętasz ten przypadek? Ach tak, naprawdę? Dość gwałtownego charakteru?... Tak... Już wysyłasz, powiadasz? No dobra, dziękuję. Powiedz, co o tym sądzisz? Tak, tak, wiem, co wykryto, ale co ty sam myślisz? O... Kilka razy przedtem? Dobrze, oczywiście, możesz to uwzględnić... W porządku, dzięki.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do sierżanta:

— No, mamy trochę danych na temat MacGregora. Podobno po śmierci żony przyjechał z Kanady do Anglii, żeby zostawić małego u ciotki żony w North Walsham. Sam dostał właśnie posadę na Alasce i nie mógł zabrać tam chłopca. Po jego śmierci wyraźnie się załamał. Wciąż groził Warwickowi zemstą. To wcale nie takie niezwykle przy tego rodzaju wypadkach. Tak czy inaczej wrócił do Calgary. Zdobyli jego adres i wysłali tam telegram. Ciotka, z którą zamierzał zostawić dziecko, zmarła dwa miesiące temu. — Nagle obrócił się do Angella. — Byliście tam wtedy, prawda? Mówię o tym wypadku w North Walsham, kiedy zginął chłopiec.

— O tak — przyznał służący. — Świetnie to pamiętam. Inspektor wstał zza biurka i ruszył w jego stronę.

Z opuszczonego krzesła natychmiast skorzystał sierżant Cadwallader.

— Jak to się stało? — spytał inspektor. — Opowiedzcie mi o wypadku.

— Pan Warwick jechał główną ulicą, a ten chłopiec wybiegł z domu czy gospody. Nie było mowy, by zatrzymać wóz. Pan Warwick przejechał dzieciaka, zanim zdołał zrobić jakiś manewr.

— Za szybko jechał, co?

— Ależ nie, proszę pana. Wszystko ustalono podczas śledztwa. Pan Warwick trzymał się przepisowej prędkości.

— Wiem, że tak zeznał.

— Bo to prawda — upierał się Angell. — Siostra Warburton, która tu wtedy pracowała, była w tym samochodzie i też tak uważa.

— Czy to znaczy, że patrzyła na szybkościomierz?

— Przypuszczam, że patrzyła. Według jej oceny pan Warwick jechał dwadzieścia parę mil na godzinę. Został całkowicie uniewinniony.

— Ale ojciec chłopca nie zgodził się z wyrokiem?

— To dość naturalne, proszę pana — zauważył Angell.

— Czy pan Warwick coś pił?

— No, może kieliszek sherry — brzmiała ostrożna odpowiedź.

Inspektor z sierżantem wymienili spojrzenia. Potem Thomas podszedł do oszklonych drzwi i wytarł nos.

— Cóż, to na razie wystarczy.

Angell powędrował do drzwi, ale nagle się zawahał.

— Przepraszani, panie inspektorze, ale czy pan Warwick zginął z własnej broni?

— To się jeszcze zobaczy. Ktokolwiek strzelał, zderzył się z panem Starkwedderem, który szukał tu pomocy, bo ugrzązł w rowie. Podczas zderzenia tamtemu wypadła broń, pan Starkwedder ją podniósł — to ten rewolwer — pokazał palcem na stolik.

— Aha. Dziękuję panu.

Angell zawrócił do drzwi.

— Chwileczkę — zatrzymał go inspektor. — Czy wczoraj byli tu jacyś goście? Chodzi mi o wieczór.

Służący milczał przez chwilę, po czym zerknął z ukosa na inspektora.

— Nie przypominam sobie, proszę pana.

I opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi. Inspektor wrócił do biurka.

— Gdyby mnie kto pytał — rzekł cicho — ten facet jest stanowczo zbyt gładki. Niby nie ma się do czego przyczepić, ale jakoś go nie lubię.

— Jestem tego samego zdania — zgodził się sierżant. — To nie jest człowiek, któremu bym zaufał, co więcej, uważam, że w tym wypadku kryje się coś podejrzanego.

Zorientował się, że inspektor stoi tuż przy nim i szybko zerwał się z krzesła.

Thomas zaczął przeglądać to, co sierżant zanotował.

— Ciekawe, czy ten Angell wie o wczorajszej nocy coś, czego nam nie powiedział. Zaraz, zaraz, co to takiego? „Mglisty bywa listopad, ale rzadko grudzień”. Chyba nie Keats, co?

— Nie — odparł sierżant, wypinając z dumą pierś. — To Cadwallader.

VII

Thomas rzucił mu szorstko notes, akurat w chwili, gdy w progu ukazała się panna Bennett.

— Inspektorze — rzekła, zamknawszy starannie drzwi — pani Warwick koniecznie chce się z panem widzieć. Jest trochę podenerwowana. — I dodała spieszenie: — Oczywiście, mam na myśli starszą panią Warwick, matkę Richarda. Chyba ma kłopoty ze zdrowiem, chociaż się do tego nie przyznaje, więc proszę traktować ją łagodnie. Czy może przyjść teraz?

— Ależ oczywiście, proszę ją tu poprosić.

Panna Bennett otworzyła drzwi i dała znak pani Warwick.

— Wszystko w porządku, pani Warwick — zapewniła wchodzącą kobietę, po czym opuściła pokój.

— Dzień dobry pani — rzekł inspektor.

Pani Warwick nie odpowiedziała na powitanie, tylko od razu przeszła do rzeczy.

— Chcę wiedzieć, jakie postępy poczynił pan w sprawie Richarda.

— Jeszcze za wcześnie na wyniki, ale może pani spać spokojnie. Robimy, co w naszej mocy.

Pani Warwick zasiadła na sofie z ręką opartą na lasce.

— Czy ten MacGregor szwendał się tu ostatnio? Może ktoś go widział?

— Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie, ale jak dotąd, nie zauważono w okolicy nikogo obcego.

— Biedny chłopczyna! Oczywiście ten, którego Richard przejechał. Przypuszczam, że jego ojcu pomieszało w głowie. Słyszałam, że zachowywał się dość gwałtownie i obraźliwie. Można to zrozumieć, ale przecież minęły dwa lata! Wydaje się to zupełnie niewiarygodne.

— Tak — zgodził się inspektor. — Dość długo zwlekał.

— Ale to Szkot. Jakiś MacGregor. Szkoci to ludzie cierpliwi i zawzięci.

— W rzeczy samej — wykrzyknął sierżant Cadwallader, który zapomniał się do tego stopnia, że zaczął głośno myśleć: — „Mało który widok na świecie robi takie wrażenie jak Szkot, który wyruszył na łów”^{*}.

Inspektor przywołał go do porządku karcącym spojrzeniem.

— Czy syn nie dostawał żadnych ostrzeżeń? Listów z pogrózkami czy czegoś w tym rodzaju?

— Nie, jestem pewna, że nie — brzmiała stanowcza odpowiedź. — Mówiłby o tym, pokpiwałby...

— Nie wziąłby tego na serio?

— Richard zawsze kpił z niebezpieczeństwa. — W głosie pani Warwick zabrzmiała macierzyńska duma.

— A czy syn pani proponował ojcu dziecka jakąś rekompensatę?

— Oczywiście. Richard nie był złym człowiekiem. Ale propozycja została odrzucona, i to, pozwolę sobie powiedzieć, z oburzeniem.

— No właśnie — mruknął inspektor.

— Podobno na krótko przed wypadkiem MacGregor stracił żonę — przypomniała sobie pani Warwick. — Chłopiec był dla niego wszystkim. To rzeczywiście wielka tragedia.

— Ale, zdaniem pani, niezawiniona przez jej syna?

Pani Warwick nie odpowiedziała, więc inspektor powtórzył:

— Uważa pani, że pan Warwick w niczym nie zawinił?

Milczała jeszcze przez chwilę.

— Słyszałam pytanie.

— Może nie zgadza się pani z tym, co powiedziałem?

Obróciła się bokiem i zaczęła nerwowo skubać poduszkę.

— Richard za dużo pił — wykrztusiła wreszcie. — Oczywiście tego dnia pił także.

— Kieliszek sherry? — podsunął inspektor.

— Kieliszek sherry! — zaśmiała się gorzko. — On był pijany! Naprawdę nie znał umiaru. Ta karafka... — wskazała karafkę na stoliku. — Napełniano ją co wieczór, a rano była prawie pusta.

Thomas przysunął sobie taboret tak, żeby widzieć jej twarz.

— Więc sądzi pani, że to on ponosi odpowiedzialność za wypadek?

— Oczywiście, że był winien. Nigdy nie miałam cienia wątpliwości.

— Ale przecież został uniewinniony.

Pani Warwick wybuchnęła śmiechem.

— Ma pan na myśli zeznania tej pielęgniarki? Tej Warburton? — prychnęła. — To idiotka i do tego bardzo przywiązana do Richarda. Przypuszczam, że kosztowało go to niezłą sumkę.

— Wie pani coś konkretnego? — spytał ostro inspektor.

— Nic nie wiem, ja tylko umiem wyciągać wnioski — odparła takim samym tonem.

Inspektor podszedł do sierżanta Cadwalladera i wziął od niego notatnik.

— Mówię panu to wszystko — ciągnęła pani Warwick — bo chce pan znać prawdę, czyż nie? Musi pan się upewnić, czy ojciec chłopca miał dostateczny powód do morderstwa. Otóż, moim zdaniem, miał. Ale nie sądzę, by po tak długim czasie... — zawiesiła głos.

Inspektor podniósł wzrok znad notatek.

— Nic pani nie słyszała wczoraj w nocy?

— Wie pan, jestem nieco przygłucha. Nie miałam pojęcia że dzieje się coś złego, póki nie usłyszałam kroków i głośnych rozmów pod moimi drzwiami. Zeszłam na dół i Jan wiedział, że Richarda ktoś zastrzelił. Z początku uznałam to — przesunęła ręką po oczach — za żart.

— Jan to pani młodszy syn?

— On nie jest moim synem. — Inspektor rzucił jej szybkie spojrzenie. — Rozwiodłam się wiele lat temu, a mój mąż ożenił się powtórnie. Jan pochodzi z tego drugiego związku. Umilkła na chwilę. — To nie jest aż tak skomplikowane, jak można by przypuszczać. Chłopiec wcześniej stracił oboje rodziców i trafił do nas. Richard i Laura dopiero co się wtedy pobrali. Laura zawsze była dla Jana bardzo dobra, niemal jak starsza siostra, naprawdę.

Inspektor próbował skierować rozmowę na inne tory:

— Tak, rozumiem, ale co do pani syna...

— Kochałam go, inspektorze. Kochałam, ale nie mogłam zamykać oczu na jego wady, a te spotęgowały się znacznie, odkąd został kaleką. Był bardzo dumny, lubił bywać w świecie. Kalectwo okropnie go irytowało i oczywiście nie wpłynęło dodatnio na jego charakter.

— Tak, to oczywiste — zauważył inspektor. — A co pani sądzi o jego małżeństwie? Czy był szczęśliwy?

— Nie mam pojęcia. — Najwyraźniej nie miała zamiaru mówić nic więcej na ten temat. — Czy chciałby pan wiedzieć coś jeszcze?

— Nie, dziękuję pani. Ale chętnie porozmawiałbym teraz z panną Bennett, jeśli można.

Pani Warwick wstała, a sierżant Cadwallader ruszył, by otworzyć jej drzwi.

— Tak, oczywiście — powiedziała starsza pani. — Panna Bennett... nazywamy ją Benny. To osoba, która na pewno panu pomoże. Jest taka praktyczna i kompetentna.

— Dawno u państwa jest?

— O tak, od lat. Opiekowała się Janem w dzieciństwie, a przedtem także Richardem. Właściwie opiekowała się całą rodziną. Bardzo oddana, doprawdy.

I skinąwszy głową sierżantowi, opuściła pokój.

VIII

Sierżant Cadwallader oparł się o drzwi i wbił wzrok w inspektora.

— Więc Richard Warwick lubił sobie popić, co? Już to kiedyś słyszałem. I jeszcze te wszystkie pistolety, wiatrówki i karabiny... Małe kuku na muniu, gdyby mnie kto pytał.

— Możliwe — odparł lakonicznie inspektor. Zadzwoił telefon. Inspektor spojrział znacząco na podwładnego, ale Cadwallader zmierzał w stronę fotela. Rozsiać się tam, pogrążony całkowicie w swoich notatkach, jakby: czego nie słyszał. Po chwili Thomas zrozumiał, że nie ma co liczyć na odebranie telefonu, gdyż myśli sierżanta wyraźnie pochłania co innego — przypuszczalnie proces tworzenia wiersza. Westchnął więc tylko i poszedł podnieść słuchawkę.

— Halo! Tak, przy telefonie... Starkwedder? Przyszedł! Dał wam swoje odciski?... Dobrze, tak... niech zaczeka... Będę za pół godziny... Tak, chcę mu zadać kilka pytań... Do widzenia.

Pod koniec rozmowy do pokoju weszła panna Bennett. Zatrzymała się przy drzwiach, ale sierżant Cadwallader czym prędzej zwolnił fotel i zajął stanowisko za oparciem.

— Słucham? — odezwała się przybyła, zwracając się do inspektora. — Chciał pan zadać mi jakieś pytania? Miała: huk roboty przez cały ranek.

— Tak, panno Bennett. Chciałbym usłyszeć pani relacją z wypadku samochodowego w Norfolk, tego, w którym zginęło dziecko.

— Dzieciak MacGregora?

— Tak, dzieciak MacGregora. Bardzo szybko przypomniała sobie pani to nazwisko ubiegłej nocy.

Panna Bennett odwróciła się, żeby zamknąć drzwi.

— Owszem — przyznała — mam dość dobrą pamięć do nazwisk.

— I niewątpliwie ów wypadek mocno panią wstrząsnął. Jednak nie jechała pani tym samochodem?

— Nie. Ale Richard opowiedział mi o wszystkim zaraz po powrocie. Podobno ojciec chłopca mu groził, mówił, że wyrówna rachunki. Oczywiście nie potraktowaliśmy tego na serio.

Inspektor podszedł bliżej.

— Czy odniosła pani jakieś szczególne wrażenie w związku z wypadkiem?

— Nie rozumiem, o co panu chodzi. Mierzył ją przez chwilę spojrzeniem.

— Czy pani sądzi, że pan Warwick był pod wpływem alkoholu?

Machnęła lekceważąco ręką.

— Ach, to pewnie jego matka panu powiedziała! Nie zawsze trzeba jej wierzyć. Jest uprzedzona do alkoholu, gdyż jej mąż, ojciec Richarda, dużo pił.

— Więc pani zdaniem, Richard zeznał prawdę, mówiąc, że jechał z dozwoloną prędkością, a wypadku nie można było uniknąć?

— Nie rozumiem, dlaczego nie uznać tego za prawdę. Przecież siostra Warburton potwierdziła jego zeznania.

— A na jej słowie można polegać?

Panna Bennet wyraźnie postanowiła okazać w drodze wyjątku solidarność zawodową:

— Mam nadzieję. W końcu ludzie nie kłamią w takich sprawach, prawda?

Sierżant Cadwallader, który przysłuchiwał się dotąd w milczeniu, teraz nie wytrzymał nerwowo.

— Kłamią, kłamią, i to jak! — wykrzyknął. — Z tego, co czasem opowiadają, można by pomyśleć, że nie tylko nigdy nie przekraczają dozwolonej prędkości, ale jakimś cudem jednocześnie jadą na wstecznym!

Zirytowany tą uwagą inspektor spojrział na niego surowo. Panna Bennett też przyglądała się młodemu człowiekowi z niejakim zdumieniem. Zmieszany sierżant spuścił wzrok na swe notatki.

— Chodzi mi o to — wrócił do tematu inspektor — że człowiek w zdenerwowaniu łatwo może obwiniać kogoś, kto zabił mu dziecko. Może nawet uciekać się do gróźb. Ale po namyśle i ustaleniu faktów, na ogół zmienia się zdanie. I także ojciec dziecka z pewnością zrozumiał, że Richard Warwick nie jest winien wypadku.

— Ach, tak, teraz pojmuje — zgodziła się panna Bennett.

Inspektor kontynuował, spacerując wolno po pokoju:

— Ale z drugiej strony, jeśli samochód rzeczywiście jechał zygzakiem i z nadmierną prędkością... jeśli kierowca wyraźnie nie panował nad pojazdem...

— Laura to panu powiedziała? — przerwała mu panna Bennett.

Inspektor obrócił się do niej, zaskoczony wzmianką o żonie zamordowanego.

— Czemu pani tak sądzi?

— Nie wiem. Po prostu się zastanawiam — odrzekła i nieco zmieszana zerknęła na zegarek — Czy

to już wszystko? Jestem dziś bardzo zajęta.

Wychodziła już, kiedy inspektor powiedział:

— Chciałbym teraz zamienić słówko z tym młodzieńcem, Janem.

Panna Bennet odwróciła się od progu.

— Och, on miał dziś aż za dużo wrażeń. — Zabrzmiało to trochę zaczepnie. — Byłabym mocno zobowiązana, gdyby pan z nim nie rozmawiał, niech sobie to wszystko przetrawi. Muszę go uspokoić.

— Przykro mi, ale mam do niego kilka pytań — nalegał inspektor.

Panna Bennett zamknęła drzwi i wróciła do pokoju.

— A nie może pan raczej odszukać tego MacGregora? Nie mógł daleko uciec.

— Znajdziemy go, proszę się nie martwić.

— Mam nadzieję — fuknęła panna Bennett. — Zemsta, też coś! Przecież to nie po chrześcijańsku!

— Oczywiście — zgodził się inspektor i dodał znacząco: — Zwłaszcza jeśli wypadek nie był winą pana Warwicka i nie dało się go uniknąć.

Panna Bennett rzuciła mu ostre spojrzenie. Na chwilę zapadła cisza, po czym inspektor powtórzył:

— Chcę porozmawiać z Janem, jeśli łaska.

— Nie wiem, czy go znajdę. Mógł wyjść.

I wyszła szybkim krokiem. Inspektor spojrział na sierżanta i ruchem głowy polecił mu ją odprowadzić. Już w korytarzu panna Bennett upomniała Cadwalladera:

— Nie wolno go denerwować. — Raz jeszcze cofnęła się do gabinetu. — Nie wolno wam denerwować chłopca — powtórzyła inspektorowi. — Bardzo łatwo wytrącić go z równowagi. Podnieca się wtedy i złości.

Inspektor przyglądał się jej przez chwilę.

— Bywa gwałtowny? — spytał.

— Nie, oczywiście, że nie. To kochany chłopak, bardzo łagodny, wprost uroczy. Chodzi mi tylko o to, żeby niepotrzebnie go nie martwić. Dzieci powinno się trzymać z daleka od takich spraw jak morderstwo. A on jest tylko dzieckiem. Niczym więcej.

Inspektor usiadł przy biurku.

— Bez obawy, panno Bennett. Doskonale rozumiemy sytuację.

IX

Chwilę później sierżant Cadwallader wprowadził Jana, który niemal biegiem ruszył w stronę inspektora.

— Chce pan ze mną rozmawiać? — wykrzyknął z wielkim podnieceniem. — Złapaliście go? Miał krew na ubraniu?

— Ależ Janie — upomniała go panna Bennett. — Zachowuj się spokojnie. Po prostu odpowiadaj na pytania tego pana.

Jan obrócił się do niej z uszczęśliwioną miną, po czym wrócił spojrzeniem do inspektora.

— O tak, bardzo chętnie odpowiem — obiecał. — A czy ja też mogę o coś zapytać?

— Oczywiście, że możesz — zapewnił go uprzejmie inspektor.

Panna Bennett usadowiła się na sofie.

— Zostanę tu na czas tej rozmowy.

Inspektor zerwał się z krzesła, podszedł do drzwi i otworzył je zapraszającym gestem.

— Nie, panno Bennett — rzekł stanowczo. — Pani nie będzie nam już potrzebna. Zresztą, podobno ma pani dziś mnóstwo zajęć?

— Wolę zostać.

— Przykro mi — głos inspektora brzmiał teraz ostrzej. — Rozmawiamy tylko z jedną osobą naraz.

Panna Bennett wodziła wzrokiem od inspektora do sierżanta. Wreszcie uznała swoją porażkę i prychnąwszy gniewnie, opuściła pokój majestatycznym krokiem. Inspektor zamknął za nią drzwi i usiadł na sofie. Sierżant wycofał się do wnęki i przygotował notatnik.

— Pewnie nie zetknąłeś się jeszcze z morderstwem? — Thomas zwrócił się przyjaźnie do Jana.

— Nie, nie! — wykrzyknął chłopak z zapalem. — To bardzo podniecające, prawda? — Ukląkł na taborecie. — Macie już jakieś ślady? Odciski palców, plamy krwi i tak dalej?

— Tak bardzo interesuje cię krew?

— O tak! — odparł Jan poważnie. — Lubię krew. Ma taki piękny kolor, prawda? Czysta, żywa czerwień. — Przeniósł się na sofę i ciągnął z nerwowym chichotem: — Richard strzelał do różnych stworzeń i one krwawiły. Zabawne, co? Chodzi mi o to, że jak ktoś tyle strzela do innych, to

powinien na koniec zastrzelić i siebie. Nie uważa pan, że to śmieszne?

— Przypuszczam, że jest w tym coś komicznego. — Głos inspektora brzmiał cicho i dość sucho. — Czy bardzo żal ci brata?

— Żal? — zdziwił się Jan. — Niby dlatego, że nie żyje? Nie, dlaczego miałbym go żałować?

— No cóż. Zdawało mi się, że... że byłeś do niego mocno przywiązany.

— Przywiązany! — Jan nie posiadał się wprost ze zdumienia. — Przywiązany do Richarda? Och, nie, nikt nie mógłby się do niego przywiązać!

— Ale żona go chyba lubiła? — drażył dalej inspektor. Kolejne zaskoczenie.

— Laura? Nie sądzę. Ona zawsze była po mojej stronie.

— Jak to: po twojej stronie? Co to właściwie znaczy? Jan nagle się spłoszył.

— Tak. Tak! — powtórzył, podnosząc głos niemal do krzyku. — Kiedy Richard chciał mnie odesłać.

— Odesłać dokąd? — zachęcał go łagodnie inspektor.

— W takie jedno miejsce. Zamykają cię tam i nie możesz wyjść. Obiecał, że Laura będzie mnie odwiedzać... od czasu do czasu. — Jan zadrżał lekko, po czym wstał i odwrócony plecami do inspektora, patrzył na sierżanta Cadwalladera. — Nie chciałem, żeby mnie zamknęli — ciągnął drżącym głosem. — Nienawidzę zamknięcia! — Stał teraz przy oszklonych drzwiach twarzą do tarasu. — Lubię, jak wszystko jest pootwierane! Okna, drzwi, muszę wiedzieć, że w każdej chwili mogę wyjść. — Wrócił na środek pokoju. — Ale teraz nikt już mnie nie zamknie, prawda?

— Nie, chłopcze — zapewnił go inspektor. — Nie sądzę, by do tego doszło.

— Bo przecież Richard już nie żyje — podkreślił Jan z nutką satysfakcji w głosie.

Inspektor wstał i okrążył sofę.

— Więc Richard chciał cię zamknąć?

— Laura mówiła, że on tylko tak mi dokucza, ale wszystko jest w porządku i póki ona tu jest, to nigdy w życiu nie pozwolił mi zabrać. — Jan przysiadł na poręczy fotela. — Kocham Laurę — ciągnął z nerwowym podnieceniem. — Okropnie ją kocham. Tak cudownie spędzamy czas! Szukamy motyli i ptasich jajek, gramy w różne gry. Na przykład w bezika. Zna pan tę grę? Bardzo sprytna! Albo w „żebraka”. Ach, jaka to radość robić coś razem z Laurą!

Inspektor przeszedł teraz do fotela i przechylił się przez jego oparcie.

— Nie sądzę, żebyś zapamiętał cokolwiek na temat owego wypadku w Norfolk, kiedy zginął

chłopiec? — zagadnął przyjacielsko.

— Ależ tak, pamiętam! — ucieszył się Jan. — Richard chodził na przesłuchanie.

— Owszem. Co jeszcze pamiętasz?

— Że na lunch był łośoś — padła błyskawiczna odpowiedź. — Richard i Warby przyjechali razem. Warby wyglądała na trochę zdenerwowaną, ale Richard się śmiał.

— Warby to zapewne ta pielęgniarka Warburton?

— Tak, Warby. Nie przepadałem za nią, ale Richard naprawdę był z niej wtedy zadowolony. Ciągłe powtarzał: „Świetne przedstawienie, Warby”.

Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęła Laura Warwick. Sierżant Cadwallader pośpieszył do niej, a Jan wykrzyknął:

— Cześć, Lauro!

— Czy nie przeszkadzam? — zwróciła się do inspektora.

— Nie, oczywiście, że nie. Proszę usiąść, pani Warwick.

Laura postąpiła parę kroków, a sierżant zamknął drzwi.

— Czy... czy Jan... — zaczęła Laura i urwała.

— Właśnie go pytam, czy pamięta wypadek z chłopcem MacGregora — wyjaśnił inspektor.

Laura usiadła na sofie.

— Pamiętasz, Janie? — spytała.

— Jasne, że tak! Wszystko pamiętam! — Obrócił się do inspektora. — Powiedziałem panu, prawda?

Inspektor nie udzielił mu bezpośredniej odpowiedzi. Zamiast tego podszedł wolno do sofy i stanął przed Laurą.

— Co pani wie o tym wypadku? Czy omawiano go przy lunchu, kiedy pani mąż wrócił z przesłuchania?

— Nie przypominam sobie — odrzekła szybko.

Jan aż podniósł się z miejsca.

— Ależ pamiętasz, Lauro, na pewno pamiętasz! Nie słyszałaś, jak Richard powiedział, że jeden bachor więcej czy mniej na tym świecie nie robi różnicy?

Laura wstała i spojrzała błagalnie na inspektora.

— Proszę...

— Nic nie szkodzi, pani Warwick — zapewnił ją łagodnie inspektor. — Dla nas to ważne, żeby dowiedzieć się prawdy o tym wypadku. Przypuszczalnie stanowi on motyw wczorajszego morderstwa.

— Och, tak — westchnęła. — Wiem, wiem.

— Zdaniem pani teściowej mąż tego dnia pił.

— Tak sędzę — przyznała Laura. — To dla mnie żadna nowina.

— Czy zetknęła się pani kiedyś z MacGregorem?

— Nie. Nie uczestniczyłam w śledztwie.

— Podobno zamierzał się zemścić? Laura uśmiechnęła się smutno.

— Musiało to jakoś wpłynąć na stan jego umysłu.

Jan, którego podniecenie rosło coraz bardziej, wykrzyknął agresywnie:

— Gdybym to ja miał wroga, wiem, co bym zrobił. Najpierw bym długo, długo czekał, a potem zakradłbym się w ciemności ze strzelbą i paf, paf, paf! — Wystrzelił do fotela z wyimaginowanej broni.

— Cicho bądź, Janie — skarciła go ostro Laura.

Chłopiec natychmiast się zaniepokoił.

— Gniewasz się, Lauro? — dopytywał się dziecinnie.

— Nie, kochanie. Ale staraj się tak nie podniecać.

— Nie jestem podniecony — zapewnił ją Jan.

X

Przechodząc przez hali panna Bennett zatrzymała się, by wpuścić Starkweddera i konstabla, którzy, jak się zdawało, jednocześnie stanęli w progu.

— Dzień dobry, panno Bennett — powitał ją Starkwedder. — Przyszedłem zobaczyć się z inspektorem Thomasem.

Panna Bennett skinęła głową.

— Dzień dobry... o, jest i pan konstabl. Obaj panowie są w gabinecie, nie wiem, co tam się dzieje.

— Witam szanowną panią — rzekł konstabl. — Przyniosłem materiały dla inspektora. Może sierżant Cadwallader je weźmie.

Poprzez zgiełk przy drzwiach przebił się głos Laury:

— Co się stało?

Inspektor wstał i ruszył do drzwi.

— Wygląda na to, że wrócił pan Starkwedder.

Kiedy sierżant załatwiał sprawy z konstablem, Starkwedder wszedł do pokoju. Jan zagłębił się w fotelu i z ciekawością czekał na rozwój wydarzeń.

— Słuchaj pan — wykrzyknął od progu Starkwedder. — Nie mogę całego dnia zmarnować na policji. Dałem odciski palców, a potem uparłem się, żeby mnie tu przywieźli. Mam sprawy do załatwienia. Jestem umówiony z dwoma agentami od sprzedaży domów... Nagle zauważył Laurę. — O... Dzień dobry, pani Warwick. Ogromnie mi przykro z powodu tego, co się stało.

— Dzień dobry — rzekła obojętnie Laura. Inspektor podszedł do stolika przy fotelu.

— Panie Starkwedder, czy ubiegłej nocy oparł pan rękę na tym stoliku, a następnie otworzył oszklone drzwi?

— Nie wiem — odparł tamten, zbliżając się do stolika. — Może i tak. To ważne?

W tym momencie do pokoju wrócił sierżant z teczką.

— Tu są odciski pana Starkweddera, konstabl je tu przyniósł razem z raportem balistycznym.

— Aha, zobaczymy. Kula, która zabiła Richarda Warwicką, z całą pewnością pochodzi z jego

rewolweru. A co do odcisków, zaraz się przekonamy.

Usiadł przy biurku i zaczął studiować dokumenty. Sierżant skierował się do wnęki.

Jan, który pilnie przyglądał się Starkwedderowi, zapytał:

— Pan dopiero co wrócił z Abadanu, prawda? Jak tam jest?

— Gorąco — odparł tamten i zwrócił się do Laury: — Jak pani dziś się miewa? Trochę lepiej?

— O tak, dziękuję. Szok już mi przeszedł.

— To dobrze.

Inspektor wstał zza biurka i zbliżył się do siedzącego na sofie Starkweddera.

— Pańskie odciski — oznajmił — znajdują się na szybie, na karafce, kieliszku i zapalniczce. Te na stoliku zostawił ktoś inny, nie udało się ich zidentyfikować. — Rozejrzał się po pokoju. — To załatwia sprawę. — Spojrzał pytająco na Laurę. — Skoro nie było tu wczoraj żadnego gościa...

— Nie — zapewniła go Laura.

— W takim razie muszą należeć do MacGregora.

— MacGregora? — Starkwedder zerknął na Laurę.

— Wygląda pan na zaskoczonego — zauważył inspektor.

— To prawda — przyznał Starkwedder. — Sądziłem, że nosił rękawiczki.

Inspektor pokiwał głową.

— Ma pan rację. Rewolwer trzymał przez rękawiczkę.

— Czy odbyła się tu jakaś kłótnia? — spytał Starkwedder Laurę. — Nie było słyhać niczego oprócz strzału?

— Ja... To znaczy, Benny i ja... słyszałyśmy tylko strzał. Ale na górę nie docierają zwykłe odgłosy.

Sierżant Cadwallader wyglądał na ogród przez okienko we wnęcie. Widząc, że ktoś idzie przez trawnik, pośpieszył do drzwi i wpuścił do środka przystojnego mężczyznę po trzydziestce. Przybysz był średniego wzrostu, miał niebieskie oczy i robił wrażenie wojskowego. Pierwszy zauważył go Jan.

— Julian! Julian! — zapiszczał radośnie.

Tamten spojrział przelotnie na chłopca i zwrócił się do Laury.

— Lauro! — wykrzyknął. — Właśnie się dowiedziałem. Ja... Tak bardzo mi przykro!

— Dzień dobry, majorze Farrar — powitał go inspektor.

— Co za niezwykła sprawa — zauważył Julian Farrar. — Biedny Richard!

— Leżał na wózku — poinformował go Jan. — Złożony w pół! A na piersi miał karteczkę. Wiesz, co tam było napisane? „Rachunek wyrównany”!

— Tak, tak. Uspokój się, chłopcze — mruknął Julian Farrar, klepiąc go po ramieniu.

— Czyż to nie podniecające? — ciągnął Jan, wpatrując się w niego roziskrzonym wzrokiem.

— Tak, rzeczywiście — odrzekł Farrar, mierząc jednocześnie Starkweddera badawczym spojrzeniem.

Inspektor dokonał prezentacji:

— To jest pan Starkwedder, a to major Farrar, prawdopodobnie nasz nowy poseł. Startuje w wyborach uzupełniających.

Panowie uścisnęli sobie dłonie, mrucząc pod nosem, że . bardzo im przyjemnie. Inspektor zostawił ich i kiwnął na sierżanta. Naradzali się przez chwilę, a tymczasem Starkwedder opowiadał majorowi o swej przygodzie:

— Ugrzązłem samochodem w rowie, chciałem stąd zatelefonować i poprosić o pomoc. Nagle z tych drzwi ktoś wybiegł i omal mnie nie przewrócił.

— Ale w którą stronę uciekł? — spytał Farrar.

— Nie mam pojęcia. Rozpłynął się we mgle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Starkwedder się odwrócił, natomiast Jan, patrząc wyczekująco na Farrara, zapytał:

— Sam powiedziałaś Richardowi, że pewnego dnia ktoś go zastrzeli, prawda, Julianie?

Zapadła cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na Farrara. Ten po krótkim namyśle odrzekł szorstko:

— Czyżby? Nie przypominam sobie.

— Ależ tak! — upierał się Jan. — Kiedyś przy kolacji. No wiesz, pokłóciliście się wtedy i ty powiedziałaś: „Richardzie, pewnego dnia ktoś ci wpakuje kulkę w łeb”.

— Prorocze słowa — zauważył inspektor.

Julian Farrar przysiadł na drugim końcu taboretu.

— No dobrze — dał za wygraną. — Richard ze swoją kolekcją był dla niektórych solą w oku.

Ludziom nie podobało się takie hobby. Na przykład ten ogrodnik, pamiętasz go, Lauro? Griffiths. Ten, którego Richard zwolnił. On z całą pewnością się odgrażał, i to niejednym razem. Mówił, że kiedyś przyjdzie ze swoją strzelbą i załatwi pana Warwicka.

— Ach, Griffiths nigdy by tego nie zrobił! — wykrzyknęła pośpiesznie Laura.

Farrar przybrał skruszoną minę.

— Nie, oczywiście, że nie. Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o to, że... ludzie często wygadywali różne rzeczy. — I żeby ukryć zakłopotanie, wyciągnął papierosa.

Inspektor siedział przy biurku z zamyśloną miną. Starkwedder stał w kącie obok wnęki, blisko Jana, który zerkał na niego z ciekawością.

— Szkoda, że nie przyszedłem tu wczoraj wieczorem — westchnął Farrar, nie zwracając się do nikogo konkretnego. — A miałem taki zamiar.

— To przez tę okropną mgłę — rzekła cicho Laura. — Nie mogłeś wyjść w tych warunkach.

— Właśnie. Zaprosiłem na kolację członków mojego komitetu wyborczego. Zauważyli, że mgła gęstnieje, więc szybko się pożegnali. Chciałem wpaść do was, ale zmieniłem zdanie. — Grzebiąc po kieszeniach, spytał: — Czy ktoś ma zapalki? Chyba posiałem gdzieś zapalniczkę.

Rozejrzał się po pokoju i nagle dostrzegł swą zgubę na stoliku, gdzie zostawiła ją Laura. Poszedł tam, obserwowany bacznie przez Starkweddera.

— O, jest! — wykrzyknął. — Nie miałem pojęcia, gdzie ją zgubiłem.

— Julianie... — zaczęła Laura.

— Tak? — Poczęstował ją papierosem. — Ogromnie mi przykro, Lauro. Jeśli mogę ci jakoś pomóc...

— Tak, tak, wiem — rzekła, przyjmując od niego ogień. Nagle odezwał się Jan:

— Umie pan strzelać, panie Starkwedder? Bo ja umiem. Richard pozwalał mi czasem poćwiczyć, ale, rzecz jasna, nie mogłem się z nim równać.

— Naprawdę? — zainteresował się tamten. — Jakiej broni pozwalał ci używać?

Wykorzystując okazję, że Jan przyciągnął uwagę Starkweddera, Laura zaszeptala nerwowo do Juliana:

— Muszę koniecznie z tobą pomówić.

— Uważaj — ostrzegł ją równie cichym głosem.

— To była dwudziestka dwójka — odpowiedział Jan. — Całkiem nieźle strzelam, prawda, Julianie? — Podszedł prosto do Farrara. — Pamiętasz, jak zabierałeś mnie na strzelnicę? Trafiłem dwie butelki!

— Rzeczywiście, mój chłopcze. Masz dobre oko, to się liczy. W krykiecie zresztą także. To był fantastyczny mecz, ten, który rozegraliśmy w lecie.

Jan uśmiechnął się z zadowoleniem i usiadł na taborecie twarzą do inspektora, który studiował dokumenty przy biurku. Po chwili Starkwedder zwrócił się do Laury, wyjmując papierosa:

— Czy mogę zapalić?

— Oczywiście.

— Pożycz mi pan zapalniczkę? — zapytał z kolei Farrara.

— Proszę bardzo.

— Jaka ładna! — rzekł, przypalając papierosa.

Laura poruszyła się nagle.

— Owszem — przyznał lekkim tonem Farrar. — Działa lepiej niż większość innych.

— Jest dość... charakterystyczna.

Starkwedder zerknął szybko na Laurę, po czym oddał zapalniczkę właścicielowi, mrużąc pod nosem podziękowanie. Jan wstał z taboretu i podszedł do inspektora.

— Richard miał mnóstwo strzelb — poinformował go konfidencjonalnie. — Wiatrówki także. I taką jedną, z której w Afryce strzelał do słoni. Chce je pan obejrzyć? Są w jego sypialni, o tam!

— W porządku — zgodził się inspektor. — Ty je nam pokażesz. — Uśmiechnął się do Jana i dodał wesoło: — Wiesz, chłopcze, bardzo nam pomożesz. Powinniśmy przyjąć cię do policji.

Położywszy rękę na ramieniu chłopca, skierował go w stronę drzwi, które sierżant przed nimi otworzył.

— Nie będziemy pana zatrzymywać, panie Starkwedder — zawołał od progu. — Może pan wracać do swoich spraw, tylko proszę być z nami w kontakcie.

— Dobrze.

Obaj policjanci opuścili pokój razem z Janem.

XI

W gabinecie zapadło niezręczne milczenie. Po chwili przerwał je Starkwedder:

— Cóż, będę się zbierał. Zobaczę, czy wyciągnięto już z rowu moje auto. Nie widziałem go, jadąc tutaj.

— Bo podjazd prowadzi do innej drogi — wyjaśniła Laura.

— Ach tak, rozumiem — odrzekł, idąc do oszklonych drzwi. — Jak to inaczej wygląda przy świetle dziennym! — zauważył, wychodząc na taras.

Laura i Julian Farrar spojrzeli po sobie.

— Julianie! Ta zapalniczka... Powiedziałam, że jest moja!

— Tak powiedziałaś? Komu? Inspektorowi?

— Nie. Jemu.

— Temu... temu facetowi... — Farrar nagle urwał, bo oboje i spostrzegli przechodzącego pod oknami Starkweddera. — Lauro...

— Uważaj. — Wyrzała przez okienko we wnęce. — On może nas słyszeć.

— Kto to jest? Znasz go?

— Nie. Miał drobny wypadek i przyszedł tu akurat, kiedy...

Julian Farrar dotknął jej ręki spoczywającej na oparciu sofy.

— Nie szkodzi, Lauro. Wiesz, że zrobię, co w mojej mocy.

— Julianie... odciski palców...

— Jakie odciski?

— Na tamtym stoliku, na szybie... To twoje?

Farrar cofnął rękę, wskazując jej Starkweddera, który znów przesunął się za oknem. Laura odskoczyła i nie odwracając się, powiedziała głośno:

— To bardzo miło z twojej strony, Julianie. Na pewno możesz nam pomóc w wielu sprawach.

Starkwedder wciąż przemierzał taras. Ledwie zniknął im z oczu, Laura wróciła do przerwanej rozmowy:

— Czy to twoje odciski, Julianie? Zastanów się!

— Może te na stoliku... — odparł z wahaniem.

— O Boże! I co teraz zrobimy?

Pod oknami znów ukazał się Starkwedder. Laura zaciągnęła się papierosem.

— Policja myśli, że to MacGregora.

Rzuciła mu rozpaczliwe spojrzenie i umilkła w oczekiwaniu na jakąś uwagę.

— Cóż, to dobrze. Pewnie przy tym pozostaną.

— A jeśli...

— Muszę już iść — przerwał jej Farrar. — Mam spotkanie. — Wstał i poklepał ją po ramieniu. — Wszystko w porządku, Lauro. Nie martw się, dopilnuję, żeby nic ci się nie stało.

Na twarzy Laury malowało się niezrozumienie i rozpacz. Farrar wyraźnie nie zdawał sobie sprawy z jej stanu. Otworzył oszklone drzwi i zamierzał wyjść, gdy z przeciwka pojawił się Starkwedder. Major uprzejmie się cofnął, unikając zderzenia.

— O, już pan wychodzi? — spytał Starkwedder.

— Tak. Ostatnio mamy tu trochę roboty. Za tydzień wybory.

— Ach, tak. Zechce pan wybaczyć moją ignorancję, ale którą partię pan reprezentuje? Torysów?

— Jestem liberałem — odparł z lekkim oburzeniem Farrar.

— To oni wciąż się trzymają? — spytał błyskotliwie Starkwedder.

Julian Farrar wciągnął gwałtownie powietrze i opuścił pokój bez słowa, niemal trzaskając drzwiami. Starkwedder spojrział ze złością na Laurę.

— Więc to tak! Teraz zaczynam rozumieć!

— Co masz na myśli?

— Wielbiciel, co? Mam rację?

— Skoro musisz wiedzieć... to tak! Przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu.

— Jeszcze ładnych kilku rzeczy nie powiedziałaś mi ubiegłej nocy, prawda? To dlatego złapałaś w

takim pośpiechu j zapalniczkę i udałaś, że jest twoja! — Odszedł parę kroków i dalej i nagle obrócił się do niej twarzą. — Od jak dawna to trwa?

— Od pewnego czasu — odrzekła cicho.

— Ale nie zdecydowałaś się opuścić Warwicka i wyjechać z tamtym?

— Nie. Po pierwsze, mogłoby to zrujnować karierę polityczną Juliana.

Starkwedder siedział w kącie sofy z ponurą miną.

— Skąd znowu, w dzisiejszych czasach? Przecież teraz każdy ma kogoś na boku!

— Ale tu chodzi o wyjątkowe okoliczności. Julian przyjaźnił się z Richardem i jeszcze to kalectwo...

— No tak. To z pewnością nie przysporzyłoby reklamy panu majorowi.

Laura podeszła bliżej i spojrzała na niego z góry.

— Uważasz, że powinnam była powiedzieć ci o tym wczoraj?

Starkwedder patrzył w bok.

— Nie miałaś obowiązku — mruknął.

Laura jakby spotulniała.

— Nie sądzę, żeby to coś zmieniło. Ja... nie byłam w stanie myśleć o niczym innym poza tym, co zrobiłam.

— Tak, tak rozumiem. — W jego głosie także pojawiła się cieplejsza nuta. — Ja także tylko o tym myślałem. — Nagle podniósł głowę. — Chcesz spróbować małego eksperymentu? Gdzie stałaś w chwili zabójstwa?

— Gdzie stałam? — powtórzyła jak echo wyraźnie spłoszona Laura.

— O to właśnie pytam.

Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedziała.

— Chyba tam. — Wskazała głową oszklone drzwi.

— Idź i stań dokładnie w tym samym miejscu. Laura wstała i zrobiła parę nerwowych kroków.

— J-ja nie pamiętam. Nie prosz, żebym sobie przypomniła. — Widać było, że się boi. — Byłam zdenerwowana i...

Starkwedder jej przerwał:

— Twój mąż coś ci powiedział. Coś, co sprawiło, że chwyciłaś za broń. — Podeszedł do stolika przy fotelu i odłożył papierosa. — No dalej, pokaż to! Jest stolik, jest rewolwer. — Wyjął Laurze papierosa z ręki i także go odłożył na popielniczkę. — A więc kłóćcie się. Ty podnosisz broń— weź ją!

— Nie chcę!

— Nie bądź idiotką — warknął Starkwedder. — Przecież nie jest naładowana. No weź ten rewolwer!

Laura niechętnie usłuchała.

— Nie podnoś go tak niepewnie. Przecież wtedy go chwyciłaś! Złapałaś i wystrzeliłaś! Pokaż, jak to było!

Trzymając niepewnie broń, odwróciła się do niego tyłem.

— No strzelaj, śmiało! — krzyczał. — Nie jest naładowany! Widząc, że wciąż się waha, wyrwał jej broń z ręki.

— Tak myślałem! — zawołał z triumfem. — Nigdy w życiu nie strzelałaś z rewolweru. Nie umiesz strzelać! Nie umiesz go nawet odbezpieczyć!

Rzucił rewolwer na taboret i wrócił do Laury. Po chwili rzekł cicho:

— Nie zabiłaś męża.

— Zabiłam.

— Ależ nie, nie zabiłaś — powtórzył z przekonaniem.

Wówczas spytała strwożonym głosem:

— Po co miałabym tak mówić?

Starkwedder wziął głęboki oddech i opadł ciężko na sofę.

— Odpowiedź na to pytanie jest dla mnie oczywista. Ponieważ to Julian Farrar go zastrzelił.

— Nie! — wrzasnęła Laura.

— Tak!

— Nie!

— Powiadam ci, że tak.

— Gdyby zrobił to Julian, czemu miałabym brać winę na siebie?

Starkwedder patrzył jej prosto w oczy.

— Ponieważ doszłaś do wniosku, zresztą słusznego, że będę cię krył. O tak, pod tym względem miałaś całkowitą rację. — Rozparł się wygodnie na sofie. — Całkiem nieźle mnie podprowadziłaś. Ale koniec z tym, rozumiesz? Koniec! Prędzej szlag mnie trafi, niż będę łgał, żeby uratować skórę majora Farrara!

Zapadła cisza. Przez jakiś czas Laura milczała, wreszcie uśmiechnęła się i spokojnie poszła po swego papierosa.

Wróciwszy na miejsce, spojrzała na Starkweddera i powiedziała:

— Ależ będziesz łgał dalej. Musisz, nie wycofasz się teraz. Opowiedziałeś swoją bajeczkę policji, nie możesz nic zmienić.

— Jak to? — stropił się Starkwedder.

Laura siedziała w fotelu.

— Bez względu na to, co wiesz albo wydaje ci się, że wiesz, musisz trzymać się swoich zeznań. Jesteś współnikiem po fakcie, sam to stwierdziłeś.

I zaciągnęła się papierosem. Starkwedderowi odebrało mowę. Wstał.

— Więc dobrze, niech mnie szlag trafi! Ty suko! Patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem. Nagle obrócił się na pięcie i wypadł do ogrodu. Laura obserwowała, jak oddala się przez trawnik. W pewnej chwili poruszyła się, jakby chciała go przywołać, ale wyraźnie zmieniła zdanie. Z zatroskaną twarzą odwróciła się od okien.

XII

Dzień miał się ku końcowi. Drzwi do ogrodu stały otworem, słońce chyliło się ku zachodowi, zalewając złotym blaskiem trawnik. Julian Farrar spacerował nerwowo po gabinecie. Czekał na Laurę, która wyraźnie miała do niego jakąś pilną sprawę, toteż co chwila zerkał na zegarek.

Wydawał się mocno przygnębiony i zdenerwowany. Wyjrzał na taras, zawrócił, znów sprawdził godzinę. Nagle na stoliku obok fotela zauważył gazetę i wziął ją do ręki. Był to lokalny dziennik „Echo Zachodu”, z wielkim artykułem o śmierci Richarda Warwicka na pierwszej stronie. WYBITNY MIEJSCOWY OBYWATEL ZAMORDOWANY PRZEZ TAJEMNICZEGO SPRAWCĘ — bił w oczy nagłówek. Farrar usiadł w fotelu i nerwowo przebiegł wzrokiem kolumnę. Ale już po chwili odrzucił gazetę i znów powędrował do oszklonych drzwi. Obejrzał się raz jeszcze na pokój i wyszedł. Był już w połowie trawnika, kiedy usłyszał za sobą czyjeś kroki.

— Lauro, tak mi przykro, ja... — zawołał, odwracając się błyskawicznie, i nagle urwał.

Osobą, która zbliżała się w jego stronę, wcale nie była Laura, tylko Angell.

— Pani Warwick kazała mi powiedzieć, że za chwilę zejdzie — wyjaśnił służący. — Czy mógłbym tymczasem zamienić z panem słówko?

— Tak, tak. O co chodzi?

Angell zrównał się z majorem i odciągnął go jeszcze parę kroków dalej, jakby się obawiał, że ktoś podsłucha ich rozmowę.

— No, słucham — przynaglił go Farrar.

— Martwię się trochę o swoją pozycję w tym domu — zaczął Angell. — Pomyślałem, że może zechciałby mi pan coś doradzić.

Farrara średnio interesowały kłopoty pielęgniarza, gdyż głowa puchła mu od własnych.

— W czym mianowicie?

Angell namyślał się przez chwilę.

— Widzi pan... Śmierć pana Warwicka może dla mnie oznaczać utratę posady.

— Tak, rzeczywiście. Ale chyba łatwo znajdziecie sobie nową?

— Mam taką nadzieję.

— Przecież macie kwalifikacje, prawda?

— O tak, mam. Poza tym szpitale i prywatne osoby zawsze poszukują pielęgniarzy, dobrze o tym wiem.

— Więc co was tak martwi?

— Cóż... Okoliczności, w których moja praca w tym domu dobiegła końca, są dość paskudne:

— Wyrażając się jasno, nie chcecie być zamieszani w sprawę o morderstwo, tak?

— Można to tak określić — przyznał Angell.

— Cóż. Obawiam się, że nikt nie może temu zapobiec. Ale na pewno pani Warwick da wam dobre referencje.

Farrar wyjął papierośnicę.

— Nie sądzę, żeby były z tym trudności. Pani Warwick to bardzo miła... bardzo urocza dama, jeśli wolno mi zauważyć — w głosie Angella pojawiło się lekko aluzyjne brzmienie.

Julian Farrar, który postanowił jednak zaczekać na Laureę, chciał już zawrócić w stronę domu, ale w zachowaniu pielęgniarza coś go zastanowiło.

— Właściwie, o co wam chodzi? — spytał cicho.

— Nie chciałbym w żaden sposób przysporzyć pani Warwick kłopotów — zapewnił obłudnie Angell.

Farrar wyjął papierosa i schował papierośnicę do kieszeni.

— Znaczy, zostajecie tu na jej życzenie?

— To prawda, pomagam w domu. Ale niezupełnie to miałem na myśli. — Umilkł na chwilę. — To... kwestia mojego sumienia, proszę pana.

— A co, u diabła, ma do tego wasze sumienie?

Mimo zakłopotanej miny, głos pielęgniarza zabrzmiał pewnie i stanowczo:

— Nie sądzę, by pan w pełni doceniał wagę moich problemów. Na przykład w kwestii zeznań na policji. Jako obywatel mam obowiązek udzielić im wszelkiej pomocy. A jednocześnie chcę pozostać lojalny wobec mych chlebobawców.

Farrar odwrócił się, żeby zapalić papierosa.

— Czyżby była w tym jakaś sprzeczność?

— Niech pan chwilę pomyśli, to sam pan dojdzie do wniosku, że ta sprzeczność istnieje.

Sprzeczność, że się tak wyrażę, dwóch lojalności.

Farrar spojrzał mu w oczy.

— Właściwie do czego pijecie?

— Policja, proszę pana, nie jest w stanie docenić tego, co się dzieje na drugim planie. A to może być niezmiernie ważne w tego rodzaju sprawie. Poza tym, od dłuższego czasu cierpię na bezsenność.

— Czy wasze dolegliwości mają coś wspólnego ze sprawą?

— Niestety tak, proszę pana — brzmiała grzeczna odpowiedź. — Ubiegłej nocy wcześniej poszedłem do siebie, ale nie mogłem zasnąć.

— Bardzo wam współczuję — rzekł sucho Farrar — ale doprawdy...

— Widzi pan — ciągnął Angell — z powodu szczególnego położenia mojej sypialni dostrzegam pewne rzeczy, które mogły umknąć uwadze policji.

— Co mi próbujecie wmówić?

— Nieboszczyk pan Warwick był człowiekiem chorym i upośledzonym fizycznie. W tych smutnych okolicznościach nie powinno nikogo dziwić, że tak przystojna kobieta jak pani Warwick poszuka... jakby tu powiedzieć... pewnej formy pociechy gdzie indziej...

— Ach, więc to tak? Nie podoba mi się wasz ton.

— Tak przypuszczam — mruknął pielęgniarz. — Ale proszę nie sądzić mnie zbyt pochopnie. Niech pan to sobie przemyśli. Jestem w posiadaniu pewnych informacji, których, jak dotąd, nie przekazałem policji, ale wiem, że jest moim obowiązkiem to uczynić.

Major mierzył Angella zimnym spojrzeniem.

— Myślę, że historyjka z pójściem na policję jest mocno naciągana. Tak naprawdę, sugerujecie mi, że moglibyście wywlec te brudy na wierzch, chyba że... Że co?

Angell wzruszył ramionami.

— Jak słusznie pan zauważył, jestem wysoko kwalifikowanym pielęgniarzem. Ale czasem przychodzi mi do głowy, że mógłbym rozkręcić własny interes. Jakiś nieduży... nie tyle dom opieki, co pensjonat, dla pięciu czy sześciu pacjentów, którzy w domu są kłopotliwi. Może z problemem alkoholowym? Oczywiście zatrudniłbym pomoc. Niestety, mimo że odłożyłem sobie na ten cel pewną sumkę, jest ona niewystarczająca. Zastanawiałem się, czy... — Zawiesił znacząco głos.

Julian Farrar dokończył za niego zdanie:

— Zastanawialiście się, czy ja, albo ja z panią Warwick, nie zechcielibyśmy wesprzeć finansowo

waszego planu.

— Tak tylko sobie myślałem — spotulniał nagle Angell. — Byłaby to wielka uprzejmość z państwa strony.

— O zapewne, bardzo wielka — odparł sarkastycznie Farrar.

— Powiedział pan dość obcesowo, że chcę wywlec na wierzch brudy, czyli wywołać skandal. Ale to nie tak. Nawet przez myśl by mi to nie przeszło.

— Więc może wyłożycie kawę na ławę, Angell? — Cierpliwość Farrara wyraźnie zaczęła się wyczerpywać. — Jak mam rozumieć te aluzje?

Angell przybrał minę, sugerującą, że sam się siebie brzydzi.

— Jak już wspomniałem, ubiegłej nocy nie mogłem zasnąć. Leżałem, wsłuchując się w buczenie syren mgłowych — najbardziej przygnębiający odgłos, jaki znam. Nagle wydało mi się, że słyszę trzaskanie okiennicy. To okropnie przeszkadza, gdy człowiek próbuje się zdrzemnąć, toteż wstałem i wychyliłem się z okna. Doszedłem do wniosku, że obluźowała się okiennica w pomieszczeniu kredensowym, tuż pod moim pokojem.

— No i? — warknął Farrar.

— Postanowiłem zejść i ją przymocować. Na schodach usłyszałem strzał. — Umilkł na krótko. — W pierwszej chwili pomyślałem tylko: „Oho, pan Warwick zaczyna swoje. Ale przecież w tej mgle nie widzi, do czego strzela”. Potem zająłem się okiennicą, ale nagle poczułem się dziwnie nieswojo. Usłyszałem kroki na ścieżce...

— Macie na myśli ścieżkę, która... — spojrzał za okno.

— Tak, tak. Ścieżkę, która biegnie z tarasu i okrąża dom. Mało kto nią chodzi poza panem, bo stanowi wygodny skrót od pańskiego domu do naszego.

Zawiesił znacząco głos, patrząc w oczy Farrarowi, który rzucił lodowato:

— Mówcie dalej.

— Jak już wspomniałem, poczułem się trochę nieswojo. Pomyślałem, że kręci się tu ktoś obcy. Toteż wprost trudno opisać, jak bardzo mi ulżyło, kiedy zobaczyłem, że to pan! Szedł pan szybkim krokiem w stronę swego domu.

Farrar zwlekał przez chwilę z odpowiedzią.

— Doprawdy, nie rozumiem, po co mi to mówicie. Jest jakiś konkretny powód?

— Po prostu zastanawiałem się — odparł z przeproszającym uśmieszkiem Angell — czy poinformował pan policję o swej nocnej wizycie u pana Warwicka. Bo jeśli nie, to gdyby znów

zaczęli mnie wypytywać...

— Chyba zdajecie sobie sprawę — przerwał mu Farrar — że szantaż jest surowo karany?

— Szantaż? — powtórzył Angell z najwyższym zdumieniem w głosie. — Nie wiem, o czym pan mówi. — Po prostu muszę zdecydować, na czym polega mój obowiązek. Policja...

— Policja — wtrącił ostro Farrar — doskonale wie, kto zabił pana Warwicka. — Ten facet praktycznie zostawił swój podpis na miejscu zbrodni. Na pewno nie będą was więcej wypytywać.

— Zapewniam pana — rzekł Angell z paniką w głosie — że chciałem tylko...

— Dobrze wiecie, że w tej mgle nie mogliście nikogo rozpoznać. Wymyśliliście tę bajeczkę, żeby... — urwał, widząc że z domu wychodzi Laura Warwick.

XIII

— Przepraszam, że tak długo kazałam ci czekać — powiedziała Laura, cokolwiek zdziwiona na widok Angella i Farrara pogrążonych w rozmowie.

— Pozwolę sobie wrócić jeszcze do tej drobnej sprawy — mruknął pielęgniarz.

Oddalił się szybko, złożony lekki ukłon Laurze, która obserwowała go, póki nie zniknął za węgłem.

— Julianie, muszę...

— Po coś mnie tu wezwała? — przerwał jej, wyraźnie poirytowany.

— Czekałam na ciebie cały dzień i...

— Przecież haruję jak wół od samego rana! Komitety, zebrania i tak dalej. Nie mogę się wymigiwać teraz, przed samymi wyborami. A zresztą, czy nie rozumiesz, że nie powinniśmy się teraz spotykać?

— Ale mamy tyle spraw do omówienia!

Farrar ujął ją pod ramię i odprowadził dalej od domu.

— Wiesz, że Angell próbuje mnie szantażować?

— Angell? — wykrzyknęła z niedowierzaniem. — Naprawdę?

— Tak. Wyraźnie o nas wie. Wie także — albo tylko udaje — że byłem tu ubiegłej nocy.

Laura wciągnęła gwałtownie powietrze.

— To znaczy, że cię widział?

— Tak mówi.

— Ależ nie mógł cię widzieć w tej mgle!

— Przygotował sobie historyjkę. Podobno zszedł do kredensu, żeby przymocować okiennicę, i zobaczył mnie, jak wracałem do domu. Twierdzi też, że tuż przedtem słyszał strzał, ale nic sobie nie pomyślał.

— Mój Boże, co za ohyda! I co teraz zrobimy?

Farrar bezwiednie wyciągnął rękę, żeby ją objąć, ale zaraz się zreflektował.

— Nie wiem jeszcze — odparł, patrząc jej spokojnie w oczy. — Trzeba będzie pomyśleć.

— Chyba nie zamierzasz mu płacić?

— Nie, nie. To byłby początek końca. Poza tym, co on nam może zrobić? — Przesunął ręką po czole. — Nie sądziłem, że ktoś wie o mojej wczorajszej wizycie. Moja gospodyni na pewno o tym nie wie. Pytanie brzmi, czy Angell naprawdę mnie widział, czy tylko udaje?

— A jeśli pójdzie na policję? — spytała Laura drżącym głosem.

— No tak — mruknął Farrar, raz jeszcze przesuując dłonią po czole. — Trzeba będzie to przemyśleć... Starannie przemyśleć. — Zaczął chodzić tam i z powrotem. — Albo zablefować: powiedzieć, że w ogóle nie wychodziłem z domu wczoraj wieczorem...

— Ale odciski palców...

— Jakie odciski? — zdumiał się Farrar.

— Zapomniałeś? Te na stoliku. Policja myśli, że to McGregora, ale jeśli Angell sprzeda im tę historyjkę, zechcą cię sprawdzić, a wtedy...

— Tak, tak — powtarzał Farrar z zafrasowaną miną. — No dobrze. Przyznam się, że tam byłem. Wymyślę jakiś powód. Przyszedłem do Richarda, rozmawialiśmy...

— Możesz powiedzieć, że zostawiłeś go całego i zdrowego — podsunęła szybko Laura.

W oczach Farrara pojawił się nikły cień uczucia.

— Jak prosto to zabrzmiało w twoich ustach! — wykrzyknął namiętnie. — Czy rzeczywiście mogę tak zeznać? — dodał sarkastycznie.

— Coś powiedzieć trzeba.

— Tak, musiałem oprzeć tam rękę, kiedy się nachylałem, żeby zobaczyć...

Cała scena stanęła mu znów przed oczami. Przełknął głośno ślinę.

— Ale póki wierzą, że to odciski MacGregora... — przekonywała go Laura.

— MacGregor, MacGregor! — rozzłościł się nagle Farrar. — Co u licha podsunęło ci ten pomysł z wycinaniem liter i przypinaniem kartki do ciała Richarda? Przecież to ogromne ryzyko!

— Tak... Nie... Sama nie wiem — zaczęła się jąkać. Patrzył na nią, kryjąc zawód.

— Ileż to trzeba mieć zimnej krwi... — mruknął.

— Musieliśmy coś wymyślić — westchnęła Laura. — Ja... ja po prostu nie mogłam. Wszystko wykoncypował Michael.

— Jaki Michael?

— Michael... Starkwedder.

— Chcesz powiedzieć, że on ci pomagał? — Farrar nie wierzył własnym uszom.

— Tak! Tak! — zdenerwowała się Laura. — Właśnie dlatego musiałam się z tobą zobaczyć. Żeby wyjaśnić...

Farrar podszedł bliżej.

— A co ów Michael — spytał lodowato, kładąc nacisk na imieniu — ma z tym wszystkim wspólnego?

— Wszedł i... zastał mnie tam. Miałam w ręku rewolwer i...

— Dobry Boże! — wykrzyknął, odwracając się z niesmakiem. — A jednak jakoś go przekonałaś...

— To raczej on przekonał mnie — szepnęła smutno Laura. — Och, Julianie!

Wyciągnęła do niego ręce, ale ją odsunął.

— Mówiłem ci, że zrobię, co w mojej mocy. Nie myśl, że zmieniłem zdanie, ale...

Laura patrzyła mu uparcie w oczy.

— Ty sam się zmieniłeś.

— Przykro mi, ale nie czuję już tego, co przedtem. Po tym, co się stało... po prostu nie potrafię.

— A ja potrafię. Przynajmniej tak mi się wydaje.

— W tej chwili nasze uczucia są najmniej ważne. Musimy przyjrzeć się faktom.

— Wiem. Słuchaj... Powiedziałam Starkwedderowi, że ja to zrobiłam.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Wyznałaś to Starkwedderowi?

— Tak.

— I on się zgodził ci pomóc? Obcy człowiek? To jakiś wariat.

— Może i wariat — odparła Laura z urazą. — Ale bardzo mnie podniósł na duchu.

— Ach, tak! Tobie żaden mężczyzna się nie oprze — zauważył Farrar ze złością. — Mam rację? Ale tak czy inaczej, Lauro, morderstwo... — głos mu zamarł.

— Postaram się już nigdy o tym nie myśleć — obiecała. — I nie zrobiłam tego z premedytacją. To był po prostu impuls — dodała błagalnie.

— Nie ma potrzeby do tego wracać. Powinniśmy się raczej zastanowić, co dalej.

— Wiem, te odciski palców. I twoja zapalniczka.

— Właśnie. Musiała mi wypaść, kiedy pochylałem się nad ciałem.

— Starkwedder wie, że jest twoja, ale nic nie może ci zrobić. Złożył już zeznania, nie będzie ich teraz zmieniał.

Farrar przyglądał jej się przez chwilę, wreszcie rzekł cokolwiek dramatycznym tonem:

— W razie czego wezmę winę na siebie.

— Nie, nie chcę! — krzyknęła Laura. Złapała go za ramię, ale zaraz puściła, oglądając się trwoźnie na dom. — Nie chcę!

— Nie myśl, że nie rozumiem, jak do tego doszło — przemawiał do niej z wysiłkiem. — Podniosłaś broń i strzeliłaś, nawet nie wiedząc, co robisz, a potem...

Laura wydała okrzyk zdumienia.

— Co?! Próbujesz mnie zmusić do wyznania, że to ja go zabiłam?

— Niezupełnie — tłumaczył się z zakłopotaniem. — Już mówiłem, że gotów jestem wziąć winę na siebie.

Laura pokręciła głową, zmieszana.

— Ale... Ale powiedziałaś, że wiesz, jak to się stało.

— Posłuchaj, Lauro. Nie posądzam cię o zbrodnię z premedytacją. Dobrze wiem, że zastrzeliłaś go, gdyż...

— Ja? — przerwała mu szybko. — Ja go zastrzeliłam? Naprawdę w to wierzysz?

Odwrócił się do niej plecami i krzyknął ze złością:

— Na miłość boską, przestańmy się oszukiwać! Inaczej do niczego nie dojdziemy!

Spokojnym i opanowanym, chociaż nabrzmiałym rozpaczą głosem oznajmiła:

— Nie zabiłam go i dobrze o tym wiesz.

Zapadło milczenie. Farrar obrócił się do niej wolno i po chwili spytał:

— Więc kto? — I nagle zrozumiał. — Lauro! Czyżbyś myślała, że to ja?

Stali naprzeciw siebie, nie mogąc wykrztusić słowa. Pierwsza odezwała się Laura:

— Słyszałam strzał, Julianie. — Wciągnęła głęboko powietrze. — Słyszałam strzał i twoje oddalające się kroki na ścieżce. Zeszłam na dół i zastałam go martwego.

— Lauro, ja go nie zabiłem — rzekł cicho Farrar. Zerknął w niebo, jakby szukając tam natchnienia. — Przyszedłem zobaczyć się z Richardem. Chciałem mu oznajmić, że zaraz po wyborach musimy się dogadać w sprawie rozwodu. Tuż przed drzwiami usłyszałem strzał. Pomyślałem, że Richard zabawia się jak zwykle, ale kiedy wszedłem, zobaczyłem, że nie żyje. Był jeszcze ciepły.

— Nie rozumiem — mruknęła Laura.

— Może... może popełnił samobójstwo?

— Nie, to wykluczone! — ucięła Laura. — Wykluczone, ponieważ...

Urwała, gdyż w domu rozległy się nagle podniecone wrzaski Jana.

XIV

Ruszyli biegiem w tamtą stronę i niemal zderzyli się z chłopcem przy szklanych drzwiach.

— Lauro! — krzyczał Jan, pozwalając się jednak łagodnie, lecz stanowczo wepchnąć z powrotem do gabinetu. — Lauro! Przecież teraz to wszystko jest moje, prawda? Bo Richard nie żyje! Wszystkie te pistolety, strzelby i tak dalej należą do mnie! Jestem jego bratem, najważniejszym mężczyzną w rodzinie!

Julian Farrar przysiadł na poręczy fotela, obojętny na całą tę scenę. Laura próbowała uspokoić chłopaka, który skarżył się płaczliwie:

— Benny nie pozwala mi ruszać strzelb. Zamknęła je w tamtej szafce — machnął ręką w stronę drzwi. — Ale one są moje, mam prawo je zabrać. Powiedz jej, żeby dała mi klucz!

— Posłuchaj, kochany — zaczęła Laura.

Jan jednak nie lubił, żeby mu przerywano. Ruszył szybko do drzwi, a potem nagle obrócił się do niej twarzą.

— Traktuje mnie jak dziecko! Mam na myśli Benny. Wszyscy traktują mnie jak dziecko, ale ja jestem dorosły, mam dziewiętnaście lat, jestem prawie pełnoletni! — Rozkrzyżował ramiona, jakby broniąc dostępu do swych skarbów. — Cały sprzęt Richarda należy do mnie! Zamierzam robić to samo, co on: będę strzelał do wiewiórek i kotów. — Zaśmiał się histerycznie. — Do ludzi także, jeśli ktoś mi się nie spodoba!

— Nie ekscytuj się tak — ostrzegła go Laura.

— Ja się nie ekscytuję! — krzyknął ze złością. — Ale nie dam się terroryzować. — Wrócił na środek pokoju i stanął przed nią ze zdecydowaną miną. — Teraz ja tu jestem panem! Panem tego domu! Wszyscy muszą mnie słuchać! — Po chwili namysłu zwrócił się do Farrara: — Jak zechcę, mogę zostać nawet sędzią pokoju, prawda Julianie?

— Myślę, że na to jesteś jeszcze za młody — odrzekł tamten.

Jan wzruszył ramionami i obrócił się tyłem do Laury.

— Wszyscy uważacie mnie za dzieciaka — powtórzył. — Ale teraz koniec! — Rzucił się na sofę, rozstawiając szeroko nogi.

— Pewnie jestem bogaty, co? Ten dom należy do mnie. Nikt nie będzie mnie już do niczego zmuszał! To ja będę wszystkich rozstawiał po kątach. Ta głupia, stara Benny nie będzie mi rozkazywać. Niech tylko spróbuje, to... — Urwał i dodał dziecinnie: — To wiem, co zrobię!

Laura podeszła bliżej.

— Posłuchaj, Janie. To bardzo smutny okres dla nas wszystkich. Nikt nie ma prawa do rzeczy Richarda, póki prawnicy nie otworzą testamentu i nie stwierdzą jego autentyczności. Tak się zawsze dzieje, kiedy ktoś umiera. Do tej pory możemy tylko uzbroić się w cierpliwość, rozumiesz?

Ton głosu Laury wywierał wyraźnie dobroczynny wpływ na podnieconego chłopaka. Jan podniósł wzrok, a potem objął ją w pasie i usadowił się tuż obok.

— Rozumiem Lauro — rzekł. — Kocham cię, wiesz? Bardzo cię kocham.

— Tak, tak — szepnęła. — Ja też cię kocham.

— Cieszysz się, że Richard nie żyje, prawda? — spytał znienacka.

Wzdrygnęła się lekko.

— Och, nie, wcale się nie cieszę.

— Ależ na pewno się cieszysz! Teraz możesz wyjść za Juliana.

Laura zerknęła szybko na Farrara. Ten wstał.

— Przecież od dawna chcesz za niego wyjść — ciągnął Jan.

— Wiem o tym. Wszyscy myślą, że ja niczego nie dostrzegam, a to nieprawda. A więc dobrze się składa dla was obojga. Jesteście oboje zadowoleni, bo...

Urwał, słysząc, że woła go panna Bennett.

— Głupia stara Benny! — wrzasnęła i zaczęła ze śmiechem podskakiwać na sofie.

— No, no, bądź dla niej miły — poprosiła Laura, ściągając go na podłogę i prowadząc do drzwi.
— Tyle miała przez nas kłopotów. Musisz jej pomagać, skoro zostałeś panem domu.

Jan otworzył drzwi, spojrzał najpierw na Laurę, potem na Juliana.

— Dobrze już, dobrze — przyrzekł z uśmiechem. Już zza zamkniętych drzwi zawołał: — Benny!

Laura obróciła się do Juliana.

— Nie miałam pojęcia, że o nas wie! — wykrzyknęła.

— Na tym polega kłopot z tego rodzaju ludźmi. Nigdy nie możesz być pewna, ile wiedzą. On... dość łatwo wymyka się spod kontroli, co?

— Owszem, szybko się podnieca — przyznała Laura. — Ale teraz, kiedy Richard nie żyje i już nie może się z nim drażnić, na pewno ochłonie i stanie się bardziej normalny.

Farrar nie wyglądał na przekonanego.

— Cóż, tego nie wiem... — zaczął i urwał, gdyż w oszklonych drzwiach ukazał się Starkwedder.

— Cześć... eee... Dobry wieczór — zawołał radośnie.

— Dobry wieczór — odrzekł niepewnie Farrar.

— Jak tam? Wszystko gra i śpiewa? — Starkwedder wodził oczami po ich twarzach. Nagle uśmiechnął się szeroko. — Rozumiem. Dwoje to kompania, ale troje już tłum. — Postąpił krok naprzód. — Nie powinienem tak nagle stawać w drzwiach. Dżentelmen poszedłby do frontowych drzwi i zadzwonił, prawda? Tylko, widzicie, ja nie jestem dżentelmenem.

— Och, proszę cię... — zaczęła Laura, ale gość jej przerwał.

— Prawdę rzekłszy, przyszedłem tu z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałem się pożegnać. Depesze z Abadanu potwierdziły, jaki to porządny i uczciwy ze mnie facet. Mogę już jechać.

— Jaka szkoda, że tak szybko — rzekła Laura z prawdziwym żalem w głosie.

— Miło, że tak mówisz — odrzekł z pewną goryczą — zważywszy na sposób, w jaki wdepnąłem w wasze rodzinne morderstwo. — Patrzył na nią przez chwilę, po czym ruszył w stronę biurka. — Ale wybrałem tę drogę z innego powodu. Po prostu przywiozła mnie policja. A chociaż trzymali buzie na kłódki, nabrałem przekonania, że coś tu nie gra.

Laura wciągnęła powietrze.

— To policja wróciła?

— Tak.

— A ja myślałam, że rano skończyli!

Starkwedder rzucił jej chytre spojrzenie.

— Toteż mówię: coś tu nie gra.

W korytarzu rozległy się głosy. Laura z Julianem przysunęli się odruchowo do siebie, gdy drzwi się otworzyły i weszła matka Richarda. Była bardzo opanowana i trzymała się prosto, chociaż wciąż korzystała z pomocy laski.

— Benny! — rzuciła przez ramię, po czym zwróciła się do Laury. — Ach, tutaj jesteś! Szukaliśmy cię.

Julian Farrar pomógł jej usiąść w fotelu.

— Jak miło, że znów przyszedłeś, Julianie — powiedziała starsza pani. — Przecież wiemy, jak

bardzo jesteście teraz zajęty.

— Przyszedłbym już wcześniej, łaskawa pani, ale dziś był doprawdy sądny dzień. Jedyne, co mógłbym ewentualnie zrobić...

Urwał, gdyż do pokoju weszła panna Bennett, a w ślad za nią wsunął się inspektor Thomas z teczką. Zmierzał prosto na środek pokoju. Starkwedder zajął miejsce przy biurku i zapalił papierosa. Na koniec zjawili się sierżant Cadwallader i Angell, który zamknął drzwi i zameldował:

— Nie udało mi się znaleźć panicza.

— Gdzieś musiał wyjść — odezwała się panna Bennett. — Pewnie na spacer.

— Mniejsza o to — burknął inspektor.

Zapadła cisza, podczas której wodził wzrokiem po twarzach zebranych. W jego zachowaniu pojawiła się teraz pewna surowość. Pani Warwick uznała widzieć, że zbyt długo każą jej czekać, gdyż odezwała się lodowatym tonem:

— Rozumiem, że ma pan do nas kolejne pytania, inspektorze?

— Tak — odparł tamten. — Niestety, mam.

— Nadal nie ma wieści o MacGregorze? — spytała znużonym głosem.

— Wprost przeciwnie.

— Znalazł się? — wykrzyknęła z błyskiem w oku.

— Owszem — padła sucha odpowiedź.

Zebrani poruszyli się nerwowo. Laura i Julian wyglądali na nieprzekonanych, Starkwedder obrócił się w krzesło twarzą do inspektora.

— Więc jest aresztowany? — rozległ się ostry głos panny Bennett.

Inspektor przyjrzał się jej z uwagą, po czym rzekł:

— To raczej niemożliwe, proszę pani.

— Niemożliwe? — zdumiała się pani Warwick. — Dlaczego?

— Ponieważ nie żyje.

Wszyscy umilkli z wrażenia. Po chwili ciszę przerwał trwoźny szept Laury:

— C—co pan powiedział?

— Powiedziałem, że MacGregor nie żyje.

Podczas gdy zebrani z trudem łapali oddech, inspektor zdecydował się rozszerzyć swój cierpki komunikat:

— John MacGregor zmarł dwa lata temu na Alasce, niedługo po swym powrocie z Anglii.

— Nie żyje! — wykrzyknęła z niedowierzaniem Laura. Pod oknami niepostrzeżenie przeszedł Jan.

— To robi pewną różnicę, co? — ciągnął inspektor. — To nie John MacGregor przypiął kartkę do piersi ofiary. Ale jest oczywiste, że uczynił to ktoś, kto wiedział o wypadku w Norfolk i pogrózkach MacGregora. Krótko mówiąc, ktoś z tego domu.

— Nie! — krzyknęła panna Bennett. — Nie, to mógł być... — urwała.

— Tak, panno Bennett?

Odczekał chwilę, ale kobieta już się nie odezwała. Kompletnie załamana, odwróciła się do okna. Inspektor zwrócił się więc do matki Richarda:

— Rozumie pani chyba — tłumaczył, próbując nadać głosowi współczujące brzmienie — że to wszystko zmienia.

— Tak, tak, rozumiem — rzekła, wstając. — Czy będę panu jeszcze potrzebna?

— Nie w tej chwili, pani Warwick.

— Dziękuję.

Skierowała się do drzwi, które Angell pośpiesznie przed nią otworzył. Julian Farrar rzucił się, by jej pomóc, a kiedy wyszła, stanął z zamyśloną miną za fotelem. Tymczasem inspektor otworzył teczkę i wyjął rewolwer.

— Angell! — przywołał pielęgniarza, który akurat wyprowadzał panią Warwick na korytarz.

Ten drgnął nerwowo i wrócił do pokoju.

— Tak, panie inspektorze?

Inspektor podszedł do niego z bronią, z której zapewne popełniono morderstwo.

— Chodzi o ten rewolwer. Rano nie byliście pewni, ale teraz proszę o zdecydowaną odpowiedź: należał do pana Warwicka czy nie?

— Nie mogę stwierdzić z całą pewnością. Miał ich tak wiele...

— Ten akurat jest z kontynentu. — Inspektor podsunął mu broń przed oczy. — Coś w rodzaju pamiątki z wojny.

Podczas tej wymiany zdań raz jeszcze po tarasie, niezauważony przez nikogo, przeszedł Jan — tym razem w przeciwnym kierunku. Trzymał w ręku broń, którą wyraźnie starał się ukryć.

Angell przyglądał się rewolwerowi.

— Pan Warwick miał kilka zagranicznych okazów. Ale sam doglądał swej kolekcji i nie pozwalał mi niczego dotykać.

Inspektor zwrócił się teraz do Farrara:

— Panie majorze, ma pan chyba jakieś pamiątki z wojny. Czy wie pan coś o tej broni?

Farrar zerknął przelotnie na rewolwer.

— Nie, zupełnie nic.

Inspektor ponownie włożył broń do teczki.

— Razem z sierżantem przyjrzymy się uważnie kolekcji pana Warwicka — oznajmił. — Przypuszczam, że nieboszczyk miał pozwolenia na większość okazów.

— O tak — pośpieszył z zapewnieniem Angell. — Wszystkie papiery są w szufladzie w sypialni. A cała broń leży w specjalnej szafce.

Sierżant Cadwallader zamierzał wyjść, ale zatrzymała go panna Bennett.

— Chwileczkę! — zawołała, wyjmując z kieszeni klucz. — Szafka jest zamknięta.

— Pani ją zamknęła? — rzucił ostro inspektor. — Dlaczego?

— Pan się jeszcze pyta? — padła nie mniej ostra odpowiedź. — Wszystkie te strzelby i amunicja... Śmiertelne niebezpieczeństwo, każdy to wie.

Kryjąc uśmiezek, sierżant wziął klucz i ponownie ruszył do drzwi. W progu obejrzał się jeszcze, czy inspektor podąża za nim. Ten, wyraźnie zirytowany komentarzem panny Bennett, zapowiedział na odchodnym:

— Wrócimy do tej rozmowy, Angell.

Wziął teczkę i wyszli obaj, zostawiając Angellowi otwarte drzwi. Pielęgniarz jednak nie od razu opuścił pokój. Zerknął niepewnie na Laurę, która siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę, po czym zwrócił się do Farrara.

— Co do naszego problemiku... — rzekł ściszym głosem. — Zależy mi, żebyśmy się możliwie prędko dogadali. Z pańskiego punktu widzenia...

— Sądzę — odrzekł z widocznym wysiłkiem Farrar — że coś się da... załatwić.

— Dziękuję, panie majorze. — Na twarzy Angella ukazał się nikły uśmiezek. — Bardzo panu dziękuję.

Wychodził już, kiedy Farrar nagle krzyknął:

— Nie! Zaczekajcie chwilę.

Pielęgniarz odwrócił się, zdziwiony.

— Panie inspektorze! — zawołał Farrar.

Zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili w drzwiach ukazał się inspektor z nieodłącznym sierżantem.

— Tak, panie majorze?

Farrar swobodnym krokiem zmierzał w stronę fotela.

— Zanim przejdzie pan do rutynowych zajęć, powinienem coś panu wyznać. Właściwie szkoda, że nie zrobiłem tego rano, ale wszyscy byliśmy zbyt przygnębieni. Właśnie pani Warwick powiadomiła mnie o pewnych odciskach palców, które chciał pan pilnie zidentyfikować. Zdaje się, że chodzi j o te na stoliku. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał z równą swobodą: — Otóż według wszelkiego prawdopodobieństwa są to moje odciski.

Nikt się nie odezwał. Inspektor podszedł wolno do Farrara i po chwili milczenia spytał oskarżycielskim tonem:

— Był pan tu wczoraj w nocy, majorze?

— Owszem. Wstąpiłem po kolacji pogadać z Richardem. Często mi się to zdarzało.

— I zastał go pan...?

— Zostałem go w złym humorze, więc nie siedziałem długo.

— Która to była godzina?

Farrar namyślał się przez chwilę.

— Naprawdę nie pamiętam. Dziesiąta, wpół do jedenastej? Coś koło tego.

Inspektor obserwował go bacznie.

— Nie może pan bliżej określić czasu?

— Przykro mi, ale nie — padła szybka odpowiedź.

— Ale chyba nie doszło do żadnej kłótni, prawda? — Inspektor starał się, by zabrzmiało to lekko i swobodnie. — Nie padły żadne złe słowa?

— Nie, na pewno nie — odparł z oburzeniem Farrar, po czym zerknął na zegarek. — Jestem już spóźniony. Mam przewodniczyć zebraniu w ratuszu, nie mogę kazać na siebie czekać. Więc jeśli pan pozwoli...? — spytał już w drzwiach na taras.

— Oczywiście, nie można kazać im czekać — zgodził się inspektor. — Ale na pewno sam pan rozumie, że muszę mieć pełne zeznanie na temat pańskich poczynań ubiegłej nocy. Możemy umówić się na rano. Oczywiście ma pan prawo odmówić albo zażądać obecności adwokata.

Tymczasem do gabinetu wróciła starsza pani Warwick. Stała w progu, zostawiając otwarte drzwi, i usłyszała ostatnie słowa inspektora. Julian Farrar wciągnął gwałtownie powietrze; on także pojął ich znaczenie.

— Rozumiem... doskonale rozumiem — mruknął. — Powiedzmy, o dziesiątej? Adwokat będzie obecny.

Po jego wyjściu inspektor zwrócił się do Laury:

— Widziała się pani z majorem, kiedy przyszedł tu wczoraj w nocy?

— Ja... ja... — zaczęła się jąkać, ale w tym momencie Starkwedder zerwał się na równe nogi i zastawił ją sobą.

— Nie sądzę, by pani Warwick była w stanie odpowiadać teraz na pytania.

XVI

Starkwedder i Thomas patrzyli na siebie w milczeniu. Pierwszy przemówił inspektor:

— Co pan powiedział?

— Powiedziałem, że pani Warwick nie zniesie w tej chwili żadnych pytań.

— Doprawdy? — warknął inspektor. — A panu co do tego, jeśli wolno wiedzieć?

Starkwedder zyskał niespodziewanego sojusznika w starszej pani Warwick.

— Ten pan ma absolutną rację — poparła go stanowczo. Inspektor spojrzał pytająco na Laurę.

— Rzeczywiście — odezwała się po chwili. — Teraz nie życzę sobie żadnych pytań.

Starkwedder uśmiechnął się z satysfakcją do inspektora, który odwrócił się ze złością i opuścił pokój razem z sierżantem. W ślad za nimi wyszedł Angell. Ledwie zamknął za sobą drzwi, Laura wykrzyknęła:

— Ale ja muszę zeznawać! Muszę im powiedzieć...

— Pan Starkwedder ma absolutną rację — powtórzyła z naciskiem pani Warwick. — Im mniej teraz mówisz, tym lepiej. — Przeszła kilka kroków, opierając się ciężko na lasce. — Musimy porozumieć się natychmiast z panem Adamsem. To nasz adwokat — wyjaśniła Starkwedderowi i zerknęła na siedzącą w drugim końcu pokoju pannę Bennett. — Zadzwoń zaraz do niego, Benny.

Panna Bennett skinęła głową i podeszła do telefonu, ale pani Warwick zatrzymała ją ruchem dłoni.

— Nie stąd, z aparatu na górze. Lauro, idź z nią.

Laura posłusznie się podniosła, ale nagle spojrzała z niepewną miną na teściową. Ta jednak postawiła sprawę jasno:

— Chcę porozmawiać z panem Starkwedderem.

— Ale...

— Nic się nie martw, moja droga. Po prostu rób to, o co cię proszę.

Laura zawahała się nieco, ale w końcu wyszła razem z panną Bennett. Pani Warwick natychmiast podeszła do Starkweddera.

— Nie wiem, ile mamy czasu — rzekła pośpiesznie, oglądając się na drzwi. — Chcę, żeby mi pan

pomógł.

— Jak? — spytał, wyraźnie zaskoczony.

— Jest pan inteligentnym człowiekiem i w dodatku obcym — ciągnęła po namyśle starsza pani. — Przybył pan z zewnątrz, nic o panu nie wiemy. Nie ma pan nic wspólnego z nikim z nas.

Starkwedder pokiwał głową.

— Niespodziewany gość, co? — mruknął, przysiadając na poręczy sofy. — Już to kiedyś słyszałem.

— I właśnie dlatego, że jest pan obcy, mam pewną prośbę. — Podeszła do wyjścia na taras i obejrzała się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę.

— Tak, pani Warwick? — przynaglił ją Starkwedder. Wróciła do pokoju i zaczęła gorączkowo wyrzucać z siebie słowa:

— Aż do tego wieczoru istniało racjonalne wytłumaczenie naszej tragedii. Ojciec chłopca, którego przez przypadek zabił mój syn, postanowił się zemścić. Wiem, że to brzmi melodramatycznie, ale mimo wszystko czyta się o takich sprawach.

— W rzeczy samej — zauważył Starkwedder, zastanawiając się, do czego ta rozmowa zmierza.

— Teraz jednak, kiedy to rozwiązanie okazało się fałszywe, morderstwo mego syna wróciło, że tak powiem, do rodziny. Otóż są dwie osoby, które absolutnie nie mogły zabić Richarda: jego żona i panna Bennett. Kiedy padł strzał, przebywały razem.

Starkwedder zerknął na nią z ukosa i mruknął pod nosem:

— Aha.

— Jednakże Laura, chociaż sama nie zastrzeliła męża, może wiedzieć, kto to zrobił.

— Wtedy odpowiadałaby za współudział po fakcie — zauważył Starkwedder. — Ona i ten Julian? O to pani chodzi?

Pani Warwick zacisnęła nerwowo wargi.

— Nie, nie o to. — Raz jeszcze obejrzała się na drzwi. — Julian Farrar także nie zabił mego syna.

— Skąd pani wie? — spytał Starkwedder, zeskakując z poręczy.

— Wiem, i tyle. — Patrzyła mu twardo w oczy. — Chcę panu, obcemu człowiekowi, powiedzieć coś, o czym nie ma pojęcia nikt z mojej rodziny. Otóż nie pożyję już długo.

— Bardzo mi przykro — zaczął Starkwedder, ale przerwała mu ruchem dłoni.

— Nie mówię tego po to, aby mi pan współczuł. Po prostu chcę w ten sposób wyjaśnić coś, co inaczej trudno byłoby zrozumieć. Zdarza się, że człowiek podejmuje działanie, na które nie zdecydowałby się, mając przed sobą jeszcze kilka lat.

— Na przykład?

— Najpierw muszę wyjaśnić coś innego. Opowiem panu o moim synu. — Usiadła na sofie. — Kochałam go całym sercem. Jako dziecko i we wczesnej młodości miał wiele cennych zalet. Odnosił sukcesy, był zaradny, dzielny, pełen radości życia, ceniono go jako dobrego kompana. — Umilkła na chwilę, wyraźnie pogrążając się we wspomnieniach. — Muszę jednak przyznać, że owe zalety miały swoje złe strony. Łatwo tracił cierpliwość, nie umiał się opanować, była w nim pewna skłonność do okrucieństwa, niekiedy dawał się ponieść arogancji, ale póki życie układało mu się pomyślnie, nie sprawiał większych kłopotów. Nie potrafił jednak stawić czoła przeciwnościom losu i od pewnego czasu zauważyłam, że powoli się stacza.

Starkwedder siedział spokojnie na taborecie, nie spuszczać z niej wzroku.

— Gdybym powiedziała, że stał się potworem, można by to uznać za przesadę. A jednak do pewnego stopnia był potworem. Potworem egoizmu, pychy, okrucieństwa. Ponieważ sam został zraniony, pałał żądzą ranienia innych. — W jej głosie odezwała się twarda nuta. — I tak najbliżsi zaczęli cierpieć z jego powodu. Czy to jasne?

— Tak, dość jasne.

Pani Warwick ponownie złagodniała.

— Widzi pan, bardzo przywiązałam się do mojej synowej. To kobieta z charakterem, ma dobre serce i ogromną wytrzymałość. Richard ją zawojował, ale nie wiem, czy naprawdę była w nim zakochana. Mimo to uważam, że jako żona zrobiła absolutnie wszystko, by ulżyć Richardowi w jego kalectwie i umilić bezczynność. — Umilkła na chwilę. — On jednak nie chciał jej pomocy, odrzucał wszystkie próby. Myślę, że czasem jej nienawidził i może to bardziej naturalne, niż przypuszczamy. Dlatego powinien pan zrozumieć, kiedy powiem, że stało się to, co nieuniknione. Laura zakochała się w wzajemnością w innym mężczyźnie.

Starkwedder przyglądał się jej z namysłem.

— Po co pani mi to mówi? — spytał.

— Bo jest pan obcy. Te wszystkie udreki... miłość, nienawiść... nic dla pana nie znaczą, więc może pan o nich słuchać bez emocji.

— Możliwe.

— Nadszedł więc taki dzień — ciągnęła, jakby go nie słysząc — kiedy wydało się, że istnieje tylko jedno rozwiązanie, które usunie wszystkie trudności: śmierć Richarda.

Starkwedder nie spuszczał z niej badawczego spojrzenia.

— Więc Richard zmarł w samą porę?

— Tak.

Po krótkim milczeniu Starkwedder wstał i zgasił papierosa.

— Przepraszam, pani Warwick, że spytam wprost: czyżby przyznawała się pani do morderstwa?

XVII

Starsza pani dość długo milczała. Nagle podniosła głowę i rzuciła ostro:

— Zadam panu jedno pytanie. Czy rozumie pan, że ktoś, kto dał życie, ma czasem prawo je odebrać?

Starkwedder krążył po pokoju, rozważając jej słowa.

— Matki rzeczywiście zabijają niekiedy swe dzieci — przyznał w końcu. — Ale dzieje się tak zwykle z dość nikczemnych powodów: na przykład chodzi o ubezpieczenie albo nie chcą zawracać sobie głowy jeszcze jednym potomkiem, bo mają już kilkoro innych. Czy pani skorzystała finansowo na śmierci syna?

— Nie.

— Proszę wybaczyć mi szczerłość, ale...

Pani Warwick przerwała mu z wyraźną irytacją:

— Czy pan w ogóle rozumie, co próbuję powiedzieć?

— Tak sędzę. Przekonuje mnie pani, że matka jest w stanie zabić syna. I że być może pani to zrobiła. — Przechylił się przez sofę i spojrzał jej w oczy. — To tylko teoria czy fakt?

— Do niczego się nie przyznaję — odparła pani Warwick. — Po prostu przedstawiam pewien punkt widzenia. Kryzys może jednak nadciągnąć, kiedy mnie już nie będzie. Dlatego chcę, żeby pan to wziął — podała mu wyjętą z kieszeni kopertę — i w razie czego wykorzystał.

— Bardzo pięknie — zauważył Starkwedder — tylko że mnie już tu nie będzie. Wracam do Abadanu, gdzie czeka na mnie praca.

Pani Warwick machnęła pogardliwie ręką, wyraźnie uważając, że jest to rzecz bez znaczenia.

— Przecież nie straci pan kontaktu z cywilizacją. W Abadanie też są chyba gazety, radio i tak dalej.

— O tak, korzystamy z wszelkich dobrodziejstw cywilizacji.

— Więc proszę zatrzymać kopertę. Widzi pan, dla kogo jest przeznaczona?

Starkwedder zerknął przelotnie na adres.

— „Główny Komisarz Policji” — przeczytał. — No tak, ale właściwie nie rozumiem, o co

naprawdę chodzi. Jak na kobietę, potrafi pani świetnie strzec sekretów. Albo popełniła pani to morderstwo sama, albo zna pani sprawcę. Mam rację, prawda?

Odwróciła wzrok.

— Nie chcę o tym dyskutować.

Starkwedder usiadł w fotelu.

— A jednak bardzo chciałbym się dowiedzieć, co pani chodzi po głowie.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. Jak sam pan przyznał, jestem kobietą, która umie strzec swych sekretów.

Starkwedder postanowił zmienić taktykę.

— A ten pielęgniarz czy służący... Człowiek, który zajmował się pani synem... — zawiesił głos, jakby próbował przypomnieć sobie nazwisko.

— Angell. Czego pan od niego chce?

— Lubi go pani?

— Tak się składa, że nie. Ale dobrze wykonywał swą pracę, a Richard był trudnym pacjentem.

— Tak przypuszczam. I Angell dawał sobie z nim radę?

— To mu się opłacało — brzmiała enigmatyczna odpowiedź.

Starkwedder znów zaczął spacerować po pokoju. Nagle zatrzymał się przed panią Warwick.

— Czy Richard miał na niego haka? — rzucił, próbując ją zainteresować.

Starsza pani wyraźnie dała się zaskoczyć.

— Haka na Angella? Co pan ma na myśli? Ach, rozumiem. Chodzi panu o to, czy Richard wiedział coś, co mogłoby Angellowi zaszkodzić?

— Właśnie. Miał się do czego przyczepić?

Pani Warwick namyślała się przez chwilę.

— Nie — odpowiedziała w końcu. — Chyba nie.

— Bo właśnie się zastanawiałem...

— Czy to nie Angell zastrzelił Richarda, tak? — przerwała mu niecierpliwie. — Bardzo w to wątpię.

— Rozumiem, nie kupuje pani. A szkoda.

Pani Warwick nagle wstała.

— Dziękuję, panie Starkwedder. Był pan bardzo uprzejmy.

Podawała mu rękę. Zdumiony tak obcesowym zachowaniem, uścisnął ją i otworzył przed starszą panią drzwi. Kiedy wyszła, uśmiechnął się do siebie nieznacznie.

— A niech to cholera! — mruknął, zerkając na kopertę. — Co za kobieta!

Ledwie zdążył schować list do kieszeni, gdy do pokoju wkroczyła panna Bennett. Wyglądała na zmartwioną i przemęczoną.

— Co panu powiedziała? — spytała od progu.

Zaskoczony Starkwedder postanowił zabawić się jej kosztem.

— Hę? Co takiego?

— Pani Warwick. O czym mówiła?

— Wygląda pani na przygnębioną — zauważył, unikając odpowiedzi.

— Bo jestem — warknęła. — Wiem, do czego jest zdolna.

Starkwedder obrzucił ją twardym spojrzeniem.

— No, do czego pani Warwick jest zdolna? Do morderstwa?

Panna Bennett postąpiła krok bliżej.

— Czy to właśnie próbowała panu wmówić? To nieprawda, niechże pan zrozumie. Nieprawda.

— Cóż, nie można być pewnym. W końcu to niewykluczone — zauważył dyplomatycznie.

— A ja panu mówię, że wykluczone.

— Skąd pani może to wiedzieć?

— Wiem i już. Myśli pan, że jest coś, czego bym nie wiedziała o mieszkańcach tego domu? Jestem z nimi od lat. Od lat, powiadam! — Usiadła w fotelu. — Bardzo się do nich wszystkich przywiązałam.

— Do nieboszczyka także?

Panna Bennett wyglądała na zatopioną w myślach.

— Lubiłam go... kiedyś — przyznała.

Starkwedder usiadł na taborecie i patrzył jej prosto w oczy.

— Proszę mówić.

— Zmienił się... Wypaczył. Cała jego mentalność uległa zmianie. Czasem było w nim coś szatańskiego.

— Tak, z tym wszyscy się zgadzają.

— Ale gdyby znał go pan dawniej...

— Nie wierzę — przerwał jej ostro. — Nie wierzę, że człowiek może się zmienić.

— A jednak on się zmienił — powtórzyła z uporem.

— Ależ nie — znów podjął swój spacer po pokoju. — Idę o zakład, że podchodzi pani do tego ze złej strony. Według mnie, Warwick od dawna hodował w sobie diabła. To jeden z tych ludzi, których życie musiało być ciągłym pasmem sukcesów, bo jak nie... Tacy ukrywają prawdziwą naturę, póki dostają to, czego chcą. Zawsze jednak mają w sobie tę żyłą zła. — Obrócił się do niej twarzą. — Założę się, że od dawna miał skłonności sadystyczne. Na pewno w szkole znęcał się nad słabszymi. Oczywiście podobał się kobietom. — Wskazał wiszące na ścianie trofea. — Podejrzewam, że sporo tego sadyzmu znajdowało ujście w krwawych polowaniach. Z tego, co mówiły o nim bliskie osoby, Richard Warwick musiał być potwornym egoistą, chociaż starał się sprawiać wrażenie równego gościa, wspaniałego kompana i tak dalej. Ale i tak tkwiło w nim zło. Kiedy zdarzył się wypadek, maska spadła i wszyscy zobaczyli, jaki jest naprawdę.

Panna Bennett wstała.

— Nie rozumiem, czemu to pana tak obchodzi — rzekła z oburzeniem. — Jest pan tu obcy i nic pan nie wie.

— Może, ale sporo słyszałem. Z jakiegoś powodu wszyscy mi się zwierają.

— Tak przypuszczam. W końcu i ja z panem teraz rozmawiam, prawda? — przyznała, ponownie siadając. — To dlatego, że między sobą nie umiemy się zdobyć na szczerość. — Popatrzyła na niego błagalnie. — Żałuję, że pan wyjeżdża.

Starkwedder pokręcił głową.

— W niczym nie mogę już pomóc. Zresztą, co ja takiego zrobiłem? Po prostu tu wtargnąłem i odkryłem wasze drogie zwłoki.

— Ależ to Laura i ja znalazłyśmy Richarda! — Umilkła na chwilę, po czym dodała: — A może ona... Czy pan...

Głos jej uwiązł w gardle.

XVIII

Starkwedder uśmiechnął się do panny Bennett.

— Ostra z pani kobietka, co?

Nie spuszczała z niego nieruchomych oczu.

— Pomógł jej pan, prawda? — spytała oskarżycielsko.

Odszedł parę kroków dalej.

— Teraz pani coś sobie ubzdurała.

— O nie, nie. Pragnę szczęścia Laury. Życzę jej tego z całego serca!

Starkwedder obrócił się do niej i wykrzyknął z pasją:

— Ja też, do jasnej cholery!

Panna Bennet wyglądała na zaskoczoną.

— Skoro tak, to muszę...

— Chwileczkę — uciszył ją gestem.

Podszedł szybko do okna, wyrzwał na taras i zawołał:

— Co tu robisz?

Teraz i panna Bennett dostrzegła na trawniku Jana wymachującego bronią. Podniosła się czym prędzej i wyszła na taras.

— Janie! Janie! — krzyknęła, idąc spiesznie w stronę chłopca. — W tej chwili mi to oddaj!

On jednak był szybszy. Odbiegł dalej, śmiejąc się i kpiąc w żywe oczy:

— Weź sobie!

— Jan! Jan! — usiłowała go zatrzymać.

Starkwedder wyglądał przez okno, próbując zorientować się w sytuacji, gdy do pokoju weszła Laura.

— Gdzie inspektor? — spytała.

Rozłożył bezradnie ręce. Laura zamknęła drzwi i podeszła bliżej.

— Michael, musisz mnie wysłuchać — rzekła błagalnie. — Julian nie zabił Richarda.

— Naprawdę? Powiedział ci to, tak?

— Nie wierzysz mi, ale taka jest prawda — przekonywała go z rozpaczą.

— Tylko według ciebie.

— Nie, nie! Bo widzisz, on myśli, że to ja zabiłam!

Starkwedder oddalił się od okien.

— To nic specjalnie nowego. — Uśmiechnął się kwaśno. — Przecież i ja tak myślałem.

W głosie Laury brzmiała teraz prawdziwa rozpacz.

— Uważa, że zastrzeliłam męża, ale nie potrafi się z tym pogodzić. I teraz... teraz jego uczucia do mnie się zmieniły.

Mierzył ją chłodnym wzrokiem.

— Natomiast kiedy ty podejrzewałaś jego, nadal czułaś to samo. — Nagle się uśmiechnął. — Kobiety są cudowne! — Przysiadł na poręczu fotela. — Po co Farrar wyjechał z informacją, że był tu ubiegłej nocy? Tylko mi nie mów, że po prostu z miłości do prawdy!

— To przez Angella. Angell go widział... a przynajmniej tak mówi.

— No tak. Czuję, że tu pachnie szantażem. Sympatyczny facet z tego pielęgniarza!

— Podobno widział Juliana tuż po strzale. Och, tak się boję! Wszystko się sprzysięgło...

Starkwedder otoczył ją ramieniem.

— Niepotrzebnie się martwisz. Będzie dobrze.

Potrząsnęła smutno głową.

— To niemożliwe.

— Ależ zobaczysz, mówię ci! Spojrzała na niego z namysłem.

— Czy kiedykolwiek dowiemy się, kto naprawdę zastrzelił Richarda?

Starkwedder nie odpowiedział od razu. Podeszedł do okna i wyjrzał do ogrodu.

— Panna Bennett jest przekonana, że zna wszystkie odpowiedzi.

— Ona zawsze wie najlepiej. A jednak czasem się myli. Musiało go coś za oknem zainteresować, gdyż nagle przywołał ją gestem. Natychmiast podeszła i wzięła go za rękę.

— Tak, Lauro! — wykrzyknął. — Tak myślałem.

— O co chodzi?

— Ciii...

W tej chwili od strony hallu nadeszła panna Bennett.

— Panie Starkwedder! Proszę do sąsiedniego pokoju. Inspektor już czeka. Szybko!

Starkwedder z Laurą wypadli na korytarz. Panna Bennett wyrzała do ogrodu, gdzie zapadał już zmierzch.

— Wychodź, Janie! — zawołała. — Przestań się ze mną droczyć! Chodź prędko do domu!

XIX

Panna Bennett kiwnęła ręką do Jana, po czym cofnęła się od okna. Po chwili chłopiec pojawił się w drzwiach na taras. Na jego twarzy malował się bunt z pewną domieszką triumfu. W rękę trzymał strzelbę.

— No, Janie, skąd u licha, to wytrzasnąłeś? — spytała panna Bennett.

— Myślisz, że jesteś taka cwana, co, Benny? — syknął z otwartą wrogością. — Bardzo sprytnie, że zamknęłaś tę szafkę, ale udało mi się dobrać klucz. Teraz mam broń, tak jak Richard. Będę miał dużo strzelb i pistoletów, bo zamierzam strzelać. — Podniósł strzelbę do twarzy i wycelował w pannę Bennett, która drgnęła. — Uważaj, Benny — zachichotał — bo i ty oberwiesz.

Panna Bennett starała się nie okazywać strachu. Przemówiła najłagodniejszym tonem, na jaki potrafiła się zdobyć:

— Ależ nie zrobiłbyś tego Janie, wiem, że byś nie zrobił.

Jan celował jeszcze przez jakiś czas, ale w końcu opuścił lufę. Panna Bennett odetchnęła z ulgą.

— Nie, oczywiście, że nie — zapewnił ją chłopak.

— Bo przecież nie jesteś już bezmyślnym dzieckiem. Stałeś się mężczyzną, prawda?

Jan się rozpromienił. Podeszedł do biurka i usiadł na krześle.

— Tak, jestem mężczyzną! Teraz, po śmierci Richarda, jestem jedynym mężczyzną w tym domu!

— Dlatego wiedziałam, że nie strzelisz. Przecież strzela się tylko do wrogów.

— Masz rację — zgodził się Jan z zachwytem w oczach.

— Podczas wojny — ciągnęła panna Bennett, starannie ważąc każde słowo — ludzie z ruchu oporu znaczyli kreską na strzelbie każdego zabitego nieprzyjaciela.

— Naprawdę? — Jan obejrzał lufę swej strzelby. — Naprawdę tak robili? Pewnie niektórzy mieli dużo takich kresek.

— Owszem, niektórzy mieli ich sporo. Jan zachichotał radośnie.

— Ale fajnie!

— Oczywiście byli i tacy, którzy brzydzili się zabijaniem, ale inni to lubili.

— Na przykład Richard.

— Tak, Richard lubił zabijać — przyznała panna Bennett, odwracając się tyłem. — Ty także lubisz, prawda?

Już poza zasięgiem jej wzroku Jan wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął nacinać strzelbę.

— Zabijanie jest takie podniecające! — zauważył z lekko nadąsaną miną.

Panna Bennett spojrzała mu prosto w twarz.

— Nie chciałeś, żeby Richard cię odesłał, prawda? — spytała cicho.

— Powiedział, że to zrobi. Był potworem!

Obeszła biurko i stanęła za krzesłem.

— A ty kiedyś obiecałeś, że go zabijesz, jeśli zechce cię odesłać.

— Naprawdę? — rzucił nonszalancko Jan.

— Ale go nie zabiłeś? — pytanie zabrzmiało trochę jak stwierdzenie faktu.

— O nie — odparł bez przekonania Jan.

— Stchórzyłeś, co?

— Jak to? — spytał niepewnie, ale w jego oczach błysnęła chytryść.

— Tak właśnie myślę. Bo powiedziałaś, że go zabijesz, a potem zrezygnowałaś. — Zerknęła w stronę drzwi. — Gdyby to mnie ktoś groził, zabiłabym go bez zmruczenia oka.

— A kto mówi, że zrobił to kto inny? Może jednak nie stchórzyłem.

— O nie, to wykluczone. Jesteś tylko chłopcem, nie ośmieliłbyś się!

Jan skoczył na równe nogi i odwrócił się do niej tyłem.

— Ja? Ja bym się nie ośmielił? — krzyknął piskliwie. — Tak sądzisz?

— Oczywiście. — Wydawało się, że rozmyślnie go drażni. — Nie mógłbyś zastrzelić Richarda. Do tego trzeba dorosłości i odwagi.

— Nie wiesz wszystkiego, Benny — rzekł z urazą w głosie. — Nie, staruszek, wcale nie wiesz.

— I czegoż to ja nie wiem? Żartujesz, czy co?

Korzystając z okazji, uchyliła drzwi. Jan stał przy wyjściu na taras, oblany blaskiem zachodzącego

słońca.

— Tak, tak, żartuję! — wrzasnął na całe gardło. — Śmiać mi się chce, bo jestem znacznie sprytniejszy niż ty!

Panna Bennett wzdrygnęła się mimo woli i przywarła do framugi drzwi. Jan zrobił krok w jej stronę.

— Wiem coś, czego ty nie wiesz — oznajmił już nieco spokojniej.

— Co to takiego? — spytała, siląc się na obojętność. Jan uśmiechnął się tajemniczo.

— Nie powiesz mi? — mówiła przymilnie, podsuwając się bliżej. — Nie powierzysz mi swego sekretu?

— Nikomu nie ufam.

Panna Bennett nadała swemu głosowi nutkę zdziwienia.

— Ciekawe... Kto wie, czy nie jesteś wielkim spryciarzem.

— Widzisz? Zaczynasz w to wierzyć — ucieszył się Jan. — Jeszcze zobaczysz, co potrafię.

Patrzyła na niego spod oka.

— Pewnie jest dużo rzeczy, których o tobie nie wiem.

— Och, jest ich mnóstwo! Ja także wiem różne rzeczy o innych, ale nie zawsze o tym mówię. Czasem wstaję w nocy i chodzę ukradkiem po domu. Dużo widzę, chociaż się tym nie chwale.

Panna Bennett przybrała minę konspiratora.

— Teraz także masz taki wielki sekret?

Jan przełożył nogę przez taboret i usiadł na nim okrakiem.

— Mam! Bardzo wielki! — pisnął z zachwytem. — Przestraszyłabyś się, gdybym ci powiedział.

I zaśmiał się niemal histerycznie.

— Naprawdę? I to ciebie miałabym się przestraszyć? Usadowiła się tuż przed nim i patrzyła mu z napięciem w oczy.

Wyraz zachwyty zniknął, a głos chłopca zabrzmiał nadzwyczaj poważnie.

— Tak, i to bardzo.

Nie odrywała od niego oczu.

— Nie wiedziałam, jaki naprawdę jesteś — przyznała. — Dopiero zacznam to rozumieć.

Tymczasem w oczach chłopca pojawiły się złe błyski.

— Nikt mnie nie zna! — wykrzykiwał dziko. — Nikt nie wie, co robię! Stary głupek siedział tam sobie i strzelał do tych kretyńskich ptaków! Nawet nie pomyślał, że to jego ktoś zastrzeli! — I dodał z naciskiem: — Prawda?

— Prawda. I na tym polegał jego błąd.

Jan wstał.

— Tak, Richard popełnił błąd. Sądził, że może mnie odesłać? No więc mu pokazałem.

— Pokazałeś? Jak mu pokazałeś?

Jan rzucił jej przebiegłe spojrzenie. Milczał przez chwilę, ale w końcu burknął:

— Nie powiem.

— Ależ powiedz, Janie, proszę!

— Nie! — Wdrapał się na fotel i oparł strzelbę o policzek. — Nikomu nie powiem!

— Może i masz rację — poddała się panna Bennett. — Chyba odgadłam, co zrobiłeś, ale zamilczę. To będzie po prostu twój sekret, dobrze?

— Tak, to mój sekret. — Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. — Nikt mnie nie zna! Jestem niebezpieczny! Niech lepiej uważają! Każdy niech uważa!

Panna Bennett patrzyła na niego ze smutkiem.

— Richard nie wiedział, jaki jesteś groźny. Musiał być zaskoczony.

Jan zawrócił do fotela i przyglądał mu się pilnie.

— Pewnie że tak! Po prostu zgłupiał. A potem... potem opadła mu głowa i było pełno krwi, i on już się nie ruszał. Pokazałem mu! Pokazałem! Już mnie nigdzie nie odeśle!

Przysiadł na końcu sofy, wymachując strzelbą do panny Bennett, która próbowała opanować łzy.

— Zobacz! — krzyknął. — Widzisz? Zrobiłem kreskę na strzelbie!

— I co z tego? — Ruszyła w jego stronę. — To takie podniecające?

Próbowała odebrać mu broń, ale okazał się szybszy.

— Nie! — wrzasnął, odskakując. — Nikt mi jej nie odbierze! Nawet policja! Niech spróbują, to

ich powystrzelam!

— Ależ nie ma takiej potrzeby. Przecież jesteś sprytny. Taki sprytny, że nikt nie będzie cię podejrzewał.

— Głupia stara policja! Głupia stara policja! — darł się Jan triumfalnie. — Głupi stary Richard!

Pomachał strzelbą w stronę miejsca, gdzie zwykle stał wózek, i w tym momencie zauważył, że szpara w drzwiach się powiększa. Z okrzykiem przerażenia rzucił się do wyjścia i wybiegł do ogrodu.

Panna Bennett opadła na sofę i zalała się łzami. Do gabinetu wszedł inspektor Thomas z sierżantem.

— Za nim! Szybko! — wrzasnął inspektor.

Sierżant popędził do ogrodu, a tymczasem od strony hallu nadeszli Starkwedder z Laurą oraz Angell. Wszyscy rzucili się do okien. W progu ukazała się wyprostowana sylwetka pani Warwick.

Inspektor Thomas starał się uspokoić pannę Bennett.

— No, no, droga pani, proszę się tak nie przejmować. Świetnie się pani spisała.

— Wiedziałam — mówiła łamiącym się głosem kobieta. — Widzi pan, nikt tu nie zna Jana tak jak ja. Wiedziałam... już od pewnego czasu... że robi się niebezpieczny, a Richard posuwał się za daleko.

— Jan! — zawołała Laura i z ciężkim westchnieniem mruknęła: — Nie, nie, tylko nie Jan. — Usiadła przy biurku. — Nie mogę w to uwierzyć!

Pani Warwick spojrzała ze złością na pannę Bennett.

— Jak mogłaś, Benny? Jak mogłaś? Myślałam, że chociaż ty będziesz lojalna!

— Czasem prawda staje się ważniejsza od lojalności — odparła tamta buntowniczo. — Nikt z was nie zauważył, że Jan staje się groźny. To kochany chłopak, ale... — Łzy nie pozwoliły jej dokończyć.

Pani Warwick przeszła wolno przez pokój, usiadła w fotelu i zapatrzyła się w dal.

Inspektor ściszym głosem dokończył myśl panny Bennett:

— ...ale kiedy tacy jak on dorastają, są niebezpieczni, ponieważ nie wiedzą, co robią. Nie potrafią się osądzić ani kontrolować. — I zwracając się do pani Warwick, dodał: — Proszę się tak nie zamartwiać. Dopilnuję, żeby został potraktowany po ludzku i z rozwagą. Sprawa jest prosta, ponieważ ten młodzieniec nie odpowiada za swoje czyny. To oznacza izolację, ale w wygodnych warunkach. Jak sama pani wie, prędzej czy później i tak by się na tym skończyło.

— Tak, tak, ma pan rację — przyznała starsza pani i zwracając się do panny Bennett, dodała: — Przykro mi, Benny. Powiedziałaś, że nikt sobie nie zdawał sprawy, że Jan jest niebezpieczny, ale ja wiedziałam. Wiedziałam, tylko nie potrafiłam się zmusić do działania.

— Ktoś jednak powinien był coś zrobić — odrzekła z mocą panna Bennett.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy w napięciu czekali na powrót sierżanta z Janem.

Mimo gęstniejącej mgły Cadwalladerowi udało się dopaść zbiega pod wysokim murem na poboczu

drogi, nieopodal domu. Chłopak wywijał strzelbą i wrzeszczał:

— Ani kroku dalej! Nikt mnie nigdzie nie zamknie! Zastrzelę cię! Nikogo się nie boję!

Sierżant zatrzymał się o dobrych dwadzieścia stóp od muru.

— Posłuchaj, chłopcze — przemawiał łagodnie. — Nikt nie chce cię skrzywdzić, ale strzelba to niebezpieczna rzecz. Po prostu mi ją oddaj i wróc ze mną do domu. Pogadasz sobie z rodziną i na pewno ci pomogą.

Postąpił kilka kroków, ale zaraz znów stanął, bo Jan histerycznie krzyczał:

— Zrobię to! Zastrzelę cię! Co mi tam jakiś policjant! Nie boję się ciebie!

— Oczywiście że nie. Nie masz powodu się mnie bać. Nic ci nie zrobię, tylko wrócmy razem do domu. No chodź już!

Ponownie zbliżył się o krok, lecz Jan oddał dwa szybkie strzały. Pierwsza kula poszła w bok, druga trafiła sierżanta w lewą rękę. Krzyknął z bólu, ale rzucił się do przodu i powalił Jana na ziemię, próbując wyrwać mu broń. Podczas szamotaniny padł następny strzał. Jan wciągnął gwałtownie powietrze i znieruchomiał.

Przejęty grozą sierżant ukląkł przy nim, nie wierząc własnym oczom.

— Och, nie — mamrotał. — Biedny głuptas! Nie, nie, nie możesz być martwy. O Boże, proszę...

Sprawdził puls, a potem pokręcił wolno głową. Stanął, cofnął się o parę kroków i dopiero wtedy spostrzegł, że ręka mocno mu krwawi. Owinął ją chusteczką i ruszył biegiem do domu, trzymając ramię w górze i z trudem łapiąc oddech.

Zanim dotarł do drzwi na taras, chwiał się już na nogach.

— Panie inspektorze! — krzyknął. Thomas z innymi wypadli na dwór.

— Co się stało, u licha? — spytał inspektor. Sierżant oddychał z wysiłkiem.

— Coś okropnego... — wykrztusił.

Starkwedder pomógł rannemu wejść do pokoju i usadowił go na taborecie.

— Wasza ręka! — wykrzyknął inspektor.

— Zajmę się tym — mruknął Starkwedder.

Ujął sierżanta za ramię i zdjął przesiąkniętą krwią szmatkę. Następnie wyciągnął własną chustkę i zaczął nią owijać ranną dłoń.

— Mgła gęstnieje — tłumaczył się sierżant. — Trudno coś zobaczyć. Strzelił do mnie... Tam, przy drodze, koło zagajnika.

Laura, pobladła ze zgrozy, natychmiast wyszła na taras.

— Oddał dwa strzały — ciągnął sierżant. — Za drugim razem trafił mnie w rękę.

Panna Bennett zerwała się na nogi i zasłoniła dłonią usta.

— Próbowałem odebrać mu broń, ale ta ręka...

— Tak, tak — przerwał mu inspektor. — I co dalej?

— Trzymał palec na spuście, no i padł strzał. Dostał w serce. Nie żyje.

Oświadczenie sierżanta Cadwalladera zostało przyjęte w głuchoj ciszy. Laura przyłożyła dłoń do ust, tłumiąc krzyk, po czym usiadła przy biurku i wbiła wzrok w podłogę. Pani Warwick spuściła głowę i oparła się ciężko na lasce. Starkwedder krążył po pokoju z wyrazem roztargnienia na twarzy.

— Jesteście pewni, że nie żyje? — spytał inspektor.

— Absolutnie. Biedny chłopak, wydzierał się na mnie, naciskając na spust, jakby kochał tę robotę.

Inspektor podszedł do okna.

— Gdzie on jest?

— Pokażę panu — sierżant zaczął się podnosić.

— Nie, lepiej tu zostańcie.

— Nic mi nie jest — upierał się sierżant. — Wytrzymam, póki nie wrócimy na posterunek. — Wyszedł na taras, zataczając się lekko, po czym obejrzał się ze smutkiem na zebranych. — „Kiedy człowiek jest martwy, to na pewno już się nie boi”. To Pope. Aleksander Pope.

Pokręcił głową i oddalił się powoli.

Inspektor zwrócił się teraz do pani Warwick i pozostałych.

— Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, ale może to było najlepsze rozwiązanie. — Wyszedł za sierżantem do ogrodu.

Pani Warwick odprowadziła go wzrokiem.

— Najlepsze rozwiązanie! — wykrzyknęła z gniewem i rozpaczą.

— Tak, tak — westchnęła panna Bennett. — Powiedział to w najlepszej intencji. Biedny chłopiec, ma już to wszystko za sobą. — Podeszła do pani Warwick i pomogła jej wstać. — Chodź, kochana, za dużo tego dla ciebie. Starsza pani spojrzała na nią z wahaniem.

— Ja... chyba się położę.

Panna Bennett odprowadziła ją do drzwi, które usłużnie otworzył Starkwedder. Potem wyjął z kieszeni kopertę i wręczył ją pani Warwick.

— Lepiej niech pani to zabierze.

— Tak — zgodziła się. — Teraz to niepotrzebne.

I obie opuściły pokój. Starkwedder już miał zamknąć za nimi drzwi, kiedy zauważył, że Angell zbliża się do siedzącej przy biurku Laury.

— Pozwolę sobie powiedzieć, że ogromnie mi przykro. Jeśli mogę być w czymś pomocny, wystarczy tylko...

Przerwała mu, nawet nie podnosząc głowy.

— Nie potrzebujemy już waszej pomocy, Angell — rzekła zimno. — Otrzymacie czek na pobory i prosimy, żebyście jeszcze dziś opuścili ten dom.

— Tak, proszę pani. Dziękuję pani — odparł bynajmniej nieporuszony odprawą pielęgniarz, po czym natychmiast wyszedł, a Starkwedder mógł wreszcie zaniknąć drzwi.

W pokoju robiło się ciemno. W ostatnich promieniach słońca na ścianach kładły się cienie. Starkwedder popatrzył z daleka na Laurę.

— Nie oskarżysz go o szantaż?

— Nie — odpowiedziała apatycznie.

— Szkoda. — Podszedł do niej. — Cóż, ja chyba też będę się zbierał. Do widzenia.

Wciąż na niego nie patrzyła, więc dodał:

— Nie martw się za bardzo.

— Nic na to nie poradzę.

— Bo kochałaś tego chłopca? Spojrzała mu w oczy.

— Tak. I jeszcze dlatego, że to moja wina. Widzisz, Richard miał rację. Biednego Jana powinno się wysłać do zakładu. Tam przynajmniej nikogo by nie skrzywdził, ale ja nie potrafiłam się z tym pogodzić. Więc Richard zginął z mojej winy.

— Daj spokój, Lauro, nie wpadaj w sentymentalizm — rzucił szorstko Starkwedder. — Richard zginął, bo sam się o to prosił. Mógł przecież okazać swemu bratu odrobinę ludzkich uczuć, prawda? Nie zamartwiaj się tym. Masz teraz przed sobą jedno zadanie: być szczęśliwą. „I żyli długo i szczęśliwie”, jak to się mówi w bajkach.

— Szczęśliwa? Z Julianem? — W jej głosie była gorycz. — Bardzo wątpię. Widzisz, już nie jest tak, jak dawniej.

— Między tobą i Julianem?

— Właśnie. Widzisz, kiedy myślałam, że Julian zabił, kochałam go tak jak przedtem. — Umilkła na chwilę. — Byłam nawet gotowa wziąć winę na siebie.

— Wiem przecież. Jakie to głupie! Czemu kobiety robią z siebie takie męczennice!

— Ale przez pewien czas Julian podejrzewał, że to ja zabiłam — ciągnęła z pasją Laura — i wtedy zupełnie się zmienił. To znaczy, zmienił się w stosunku do mnie. Och, był pełen dobrej woli, próbował postąpić uczciwie i nie rzucać pochopnych oskarżeń. Ale to wszystko. — Oparła podbródek na dłoni. — Już nic do mnie nie czuje.

Starkwedder potrząsnął głową.

— Posłuchaj, Lauro. Kobiety i mężczyźni nie reagują w taki sam sposób. Płeć męska odznacza się wielką wrażliwością, a kobiety są twarde. Mężczyzna nie umie przejść do porządku nad morderstwem, kobieta to potrafi. Faktem jest, że jeśli mężczyzna popełnia zbrodnię dla kobiety, zyskuje w jej oczach na wartości. A mężczyźni odczuwają to inaczej.

— Ty jednak tak nie reagujesz. Myślałeś, że zabiłam Richarda, a jednak mi pomogłeś.

— To co innego — odparł szybko, nieco stropiony. — Ja musiałem ci pomóc.

— Dlaczego musiałeś?

Nie odpowiedział wprost, tylko po chwili rzekł cicho:

— Nadal chcę ci pomagać.

— Czy nie widzisz, że wracamy do punktu wyjścia? W jakiś sposób odpowiadam za śmierć Richarda, ponieważ uparłam się w sprawie Jana.

Starkwedder przysunął sobie taboret i usiadł obok Laury.

— Więc tym się gryziesz, tak? Odkryciem, że Jan zabił Richarda? Ale to wcale nie musi być prawda. Możesz uwierzyć albo nie.

Laura patrzyła na niego z napięciem.

— Jak możesz tak mówić? Słyszałam... wszyscy słyszeliśmy, że się przyznał. Wręcz się tym chełpił.

— O tak, wiem o tym. Ale co wy wiecie o sile sugestii? Panna Bennett bardzo umiejętnie doprowadziła Jana do wyznania. On sam na pewno był podatny na sugestię. Spodobał mu się ten pomysł, jak wielu chłopakom w jego wieku. Wydało mu się, że jest potężny... że potrafi zabijać. Wasza Benny pomachała mu przed nosem przynętą, a on ją połknął. Zastrzelił Richarda, naciął kreskę na strzelbie, jest bohaterem! — Umilkł na chwilę. — Ale nie wiesz... nikt z nas naprawdę nie wie, czy to prawda.

— Na miłość boską, przecież postrzelił sierżanta!

— Bo rzeczywiście był potencjalnym zabójcą. Bardzo możliwe, że zabił Richarda. Ale nie da się tego stwierdzić z całą pewnością. To mógł być... — zawahał się. — To mógł być kto inny.

Laura patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Ale kto?

Starkwedder namyślał się przez chwilę.

— Może panna Bennett? W końcu lubiła was wszystkich i mogła to uznać za najlepsze wyjście. Albo na przykład pani Warwick. Nawet twój przyjaciel Julian... a potem udał, że podejrzewa ciebie. Bardzo sprytny manewr, przekonał cię bez zastrzeżeń.

Laura odwróciła twarz.

— Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Po prostu próbujesz mnie pocieszyć.

— Moja droga — westchnął znużony Starkwedder. — Każdy mógł zastrzelić Richarda. Nawet MacGregor.

— MacGregor? Przecież on nie żyje.

— Oczywiście. — Wstał i usiadł na poręczy sofy. — Posłuchaj tylko. Zaraz ci przedstawię zgrabną historyjkę z MacGregorem jako mordercą. Powiedzmy, że postanowił zemścić się na Richardzie za śmierć swego syna. I co robi? Po pierwsze pozbywa się własnej tożsamości. Nietrudno załatwić sobie zawiadomienie o śmierci w odludnej części Alaski. To trochę kosztuje, bo trzeba namówić kogoś do złożenia fałszywego oświadczenia. Potem facet zmienia nazwisko i rozpoczyna nowe życie jako zupełnie inna osoba w innym kraju i zawodzie.

Laura przyglądała mu się przez chwilę ze zdumieniem, po czym przeniosła się na fotel i wzięła głęboki oddech. Starkwedder kontynuował swą hipotetyczną opowieść:

— Bacznie śledził wszystko, co się tu dzieje, a kiedy się dowiedział, że wyjechaliście z Norfolk, przystąpił do realizacji planu. Zgolił brodę, ufarbował włosy i tak dalej. Potem, w pewien mglisty wieczór przyjechał pod wasz dom. Powiedzmy, że odbyło się to tak. — Stanął przy drzwiach na taras. — Dajmy na to, powiedział do Richarda: „Obaj mamy broń. Liczę do trzech i strzelamy. Przyszedłem zapłacić panu za śmierć mego syna”.

Laura wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami.

— Wiesz — ciągnął — twój mąż nie był chyba tak honorowy, jak myślałaś. Coś mi się zdaje, że nie poczekał, zanim gość powie „trzy”. Mówiłaś też, że świetnie strzelał, a jednak tym razem chybił i kula trafiła tam — wyszedł na taras i machnął ręką w stronę ogrodu — gdzie poprzednio wiele innych. Ale MacGregor nie chybił. Strzelił i zabił. Potem — ciągnął, wróciwszy do pokoju — porzucił broń przy zwłokach, wyszedł do ogrodu i... niebawem wrócił.

— Wrócił? — zdziwiła się Laura. — Po co? Starkwedder patrzył na nią przez chwilę w milczeniu. Potem wziął głęboki oddech i powiedział:

— Zgadnij.

Potrząsnęła głową.

— Nie mam pojęcia.

Nadal świdrował ją wzrokiem, wreszcie rzekł powoli i z wysiłkiem:

— Cóż... Przypuśćmy, że zdarzył się wypadek i MacGregor nie mógł się stąd wydostać. Co miał zrobić? Tylko jedno: wrócić do domu i odkryć ciało!

— Tak mówisz — łapała z trudem powietrze — tak mówisz, jakbyś przy tym był.

Starkwedder dłużej nie wytrzymał.

— Bo byłem! Jeszcze nie rozumiesz? MacGregor to ja!

Laura osłupiała. Podniosła się wolno z fotela i zrobiła kilka kroków w kompletnym oszołomieniu, jakby nie rozumiała prawdziwego znaczenia tych słów.

— Ty... Ty...

Podszedł do niej szybko.

— Nigdy nie przypuszczałem, że tak się stanie — rzekł ochryplym ze wzruszenia głosem. — To znaczy... że się poznamy... że odkryję, jak mi na tobie zależy, a potem tamto... o Boże, to beznadziejne. Beznadziejne. — Wziął ją za rękę i pocałował we wnętrze dłoni. — Do widzenia, Lauro! — Wyszedł pośpiesznie na taras i zniknął we mgle.

Laura pobiegła za nim, wołając:

— Zaczekaj... Zaczekaj! Wracaj!

Zewsząd waliły kłęby mgły i syreny w Bristolu znów się odezwały.

— Wracaj, Michael, wracaj! — krzyczała zrozpaczona kobieta.

Odpowiedzi nie było.

— Wracaj! Proszę! Ja także cię Kocham!

Ale choć wyteżęła słuch ze wszystkich sił, do jej uszu dobiegł tylko warkot ruszającego samochodu. Laura osunęła się na podłogę i zanosła rozpaczliwym szlochem.

Syreny nie przestawały buczeć.

-
- * John Keats: „Do jesieni”, tłum. Stanisław Barańczak.
 - * Thomas Stearns Eliot: „Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka”, tłum. Władysław Dulęba.
 - * John Masefield: „Roadways” [Drogi].
 - * William Szekspir: „Król Henryk IV”, cz. I, akt V, sc. IV, tłum. Stanisław Barańczak.
 - * James Barrie: „Twelve-pound Look”.